



Prenumerata wynosi: w Warszawie kwartalnie rs. 1 kop. 80. — Na stacjach pocztowych w Cesarstwie, Królestwie, za granicą i w Redakcji kwartalnie rs. 2 kop. 50. — Półrocznie rs. 5. — Rocznie rs. 10. Numer pojedynczy kop. 17. — w Krakowie prenumerować można w księgarni pana Friedleina. — w Poznaniu w księgarni pana Leitgera, płacąc za półrocze 3 guldenów albo 5 talarów. (W tej summie mieści się cena pisma, porto i opakowanie)

Treść Numeru. Nieużyteczni, komedia w czterech aktach Edwarda Cadol przełożona przez Joannę Belejowską. — Młot i kowadło, Romans w trzech częściach Fr. Spielhagena przełożył z niemieckiego Michał Głiszczyński. — Przegląd literacki, artystyczny, teatralny i różne wiadomości. — O ubiorach — Dalszy ciąg objaśnień dodatku arkuszowego

NIEUŻYTECZNI.

KOMEDJA W CZTERECH AKTACH

EDWARDA CADOL

przełożona

przez Joannę Belejowską.

(Dokończenie).

Scena 12.

Paweł, Mesnard i Aniela.

(Aniela wchodzi i czas jakiś słucha niepostrzeżona).

Paweł. O! nie dziś to dopiero postrzegam... całe twoje obejście ze mną jest jakby nieustanną niemą nagana... i teraz dajesz mi wymowny dowód niechęci, sprzeciwiając się, aby łączące nas węzły ścięły się jeszcze.

Mesnard. Ach! możesz ze być do tego stopnia.....

Aniela (przerywając). Nie odpowiadaj mu...

Paweł. Ach! jeżeli ty się wmięszasz!...

Aniela. Nie mięszam się, tylko widzę żeś się uniósł i mówisz czegoś mówić nie powinien.. Odłóżcie waszą rozmowę do jutra, jak będziesz spokojniejszy.

Paweł (szorstko). Nie mam już nic do powiedzenia.

Mesnard. Ależ...

Aniela. Daj pokój mój drogi.

Mesnard (wacha się chwilę, potem wychodzi zakrywając twarz rękami). O Boże! mój Boże!...

Scena 13.

Aniela, Paweł.

Paweł (n. str.) Będzie miał teraz za swoje.

Aniela. O cóż wam znów chodziło?

Paweł. Nic... tak sobie...

Aniela. I ty mówisz że mnie kochasz.

Paweł. Maż tylko umie cię kochać... ja zawsze jestem winien...

Aniela. Alboż nie?

Paweł. Ma się rozumieć, on jest anioł, bóstwo, doskonałość... a ja...

Aniela. Paweł!

Paweł. I cóż jeszcze?

Aniela. Czemu nie powiesz szczerze...

Paweł. A więc kiedy chcesz koniecznie powiem

otwarcie, że nigdy nie daruję twemu mężowi jego sposobu wychodzenia ze mną... przybiera jakieś pozory handlarskiej znakomitości... udaje jakąś tam wyższość i śmieszna powagę... a nie dość na tem chce mnie pozbawić twojego przywiązania...

Aniela (wzruszona). Jakże srodze go krzywdzisz...

Paweł (zniecierpliwiony). Powiadam ci że ubliża mi na każdym kroku... cóż u diabła! przecież powinien pamiętać że nie wychowałem się za kantorem, abym miał to wszystko znosić.

Aniela. Pawle uprzedzasz się i jesteś niesprawiedliwy.

Paweł. Gdybyś mnie kochała nie mówiłabyś tego.

Aniela (łagodnie). Tak cierpko do mnie przemawiasz...

Paweł. Ach! tak, powtarzam, dokazał swego... nie kochasz mnie już... On jest... (robi ruch pogardy).

Aniela (urazona). Moim mężem.

Paweł (z determinacją). A więc odjadę...

Aniela. Ach! nie rób tego, powiedziano by że nas opuszczasz w nieszczęściu.

Paweł (zmieniając ton). W nieszczęściu?

Aniela. Wprawdzie przyrzekłam nie mówić ci...

Paweł (unosząc się). Ach! przyrzekłaś jemu!... więc już niczem jestem dla ciebie...

Aniela. Nie unos się... a ty nie wiesz...

Paweł. Ach! mówisz o nieszczęściu, więc mam prawo dopominać się abys go nie taila przedemną... Powiedz, cóż się stało...

Aniela. Interesa męża mego zły wzięły obrót, i może będziemy zmuszeni sprzedać fabrykę.

Paweł. Ach! biedny Mesnard!... No! a twój posag.

Aniela. Oddałam mu go.

Paweł. Dobrześ zrobiła.

Aniela. Tak, ale niewystarczy.

Paweł. Ach!... (wesolo). To dobrze, rozpaczamy jak dzieci, zamiast...

Aniela. Zamiast...

Paweł. Uciec się do najprostszego środka. Wszakże ja mam majątek.

Aniela (przygnębiona). Ach!... nie mówmy o tem.

Paweł. To mi się podoba! Więc sądzisz że byłbym zdolny spokojnie przeżywać swoje dochody, wiedząc że wy jesteście w przykrem położeniu? O! moja droga, prawda, byłem dotąd nieużytecznym wietrznikiem, ale lekkomyślność ta nie stłumiła jeszcze we mnie poczucia obowiązku... nie upadłem jeszcze tak nisko! Nie zapomnę nigdy że ojciec umierając polecił cię mojej opiece... weźcie wszystko co mam... bądź spokojna... nie mam żadnych rzeczywistych potrzeb... przy tobie zawsze mi będzie dobrze....

a z resztą w razie potrzeby.... wezmę się do pracy, Aniela (mocno wzruszona). Bracie!...

Paweł. Ach! przerażasz mnie.... nie wszystko chyba powiedziałaś...

Aniela. Zapewniam cię....

Paweł. Nie! taisez coś przedemną. idę do twego męża on musi mi wyznać prawdę.

Aniela. Ach! on to właśnie...

Paweł (z uniesieniem). Zakazał ci mówić mi... Och! w takim razie, jest człowiekiem bez serca!

Aniela (nie mogąc się powstrzymać). On bez serca!... Ależ bracie mój, czyżbym płakała gdybyś miał jeszcze majątek?

Paweł (osłupiały). Co ty mówisz, Aniela!...

Aniela. Nie wiesz o niczem i posadzasz go...

Paweł. Wytłómacz mi, na Boga! ..

Aniela. Od osiemnastu miesięcy, dochody twoje zaledwie wystarczają na opłacanie procentów wierzycielom.

Paweł. Więc w takim razie, skądże Desrives brał pieniądze które mi nadsyłał w tym przeciągu czasu?

Aniela. Z kassy mego męża.

Paweł. Ach!

Aniela (z godnością). Przecież cię to nie powinno obrażać!...

Paweł. Nie!..... Ach! teraz rozumiem dla czego przed chwilą, gdy mu mówił o Helenie.... Miał słusność, to niepodobieństwo! (Rozrzewniony). Ale ty, Aniela!... (Pada na krzesło, płacząc).

Aniela (zbliża się zwolna do niego, i głowę jego opiera na swoim ramieniu). Płacz, biedny bracie!

Paweł. Zdaje mi się że słyszę gniewny głos ojca!

Aniela. Pawle!

Paweł. Tak liczył na mnie!... Mój Boże!... (Ociera oczy). Chodźmy do twego męża Aniela, on najlepiej wskaże mi co mam robić.

(Zasłona spada).

AKT IV.

U Mesnarda.

(Ogród. Na lewo wejście do pomieszkania. Meble ogrodowe.)

Scena 1.

Trévières, Jan.

Jan (porządkując). A tak, panie baronie już tylko

tydzień tu będę... Pan hrabia i mnie i żonie mojej wypowiedział służbę.

Trévières. Żal mi cię biedaku.

Jan. No, tak znów bardzo się tem nie martwię.

Trévières. Tak!...

Jan. Nie mówię żeby pan hrabia miał być złym panem... broń Boże... i gdyby żądano odemnie względem niego objaśnień, dałbym wcale dobre... Ale żona moja służyła za kucharkę... hum... świat jest złośliwy... a to stary kawaler... Z resztą wszystko mi się zdaje, że zamysła wracać do Paryża.

Trévières. Ach! czy mówił co o tem?

Jan. Nie... ale czyż to nam trzeba mówić... A w Paryżu... nie powiem żeby dawał zły przykład... ale aż przykro patrzeć jak go wszyscy skubią i obdzierają... a ponieważ uciuliśmy już nieco grosza...

Trévières. Doprawdy?...

Jan. Ach! u pana hrabiego anioł chyba postąpiłby inaczej... z resztą nie zrobiliśmy przecież milionów... zaledwie wystarczy nam na niezbędne życia potrzeby. Osiądziemy sobie w naszym rodzinnym mieście, przyjmujemy parę sług... ale ma się rozumieć pewnych i wiernych.....

Trévières. Którym nie wolno będzie robić u was majątków.

Jan. Ach! panie baronie, to dobre dla tych co służą u panów.

Trévières. Aha!...

Jan. (n. str.) Na cóżby też panowie żyli na świecie... (Głośno.) Oto! niechno by mnie się służący o grosz przeniwierzył... dałbym ja mu.

Trévières. Zaraz znać człowieka z charakterem... Ale mówiłeś mi coś że Mesnard.....

Jan. Całą noc świeciło się w jego gabinecie, a rano nie przyszedł na śniadanie.

Trévières. A hrabia?

Jan. O świecie wyjechał do Amiens. Może się mylę, ale służyłem kiedyś u pewnego bankiera, i w dzień jego bankructwa... (wacha) Coś tak samo czuć było w powietrzu.

Trévières. (n. str.) Nie ma czasu do stracenia.

Jan. Czy mam zameldować pana barona?

Trévières. (dając mu pieniądze). Nie, zaczekam tu.

Jan. (odchodzi oglądając pieniądze). Czterdzieści tysięcy... Na co mu to przyszło!... No, nie dziw, tak liczną, trzymał służbę.

Scena 2.

Trévières, później Helena.

Trévières. Biedna dziewczyna! gotowiby i ją przywieść do upadku... Sumienie nakazuje mi nie dopuścić tego... im więcej się nad tem zastanawiam, tem żywsze uczuwam dla niej współczucie.

Helena. (ukazuje się z książką w ręku). Czyby on?...

Trévières. (n. str.) Otóż i ona! (Głośno.) Panno Heleno...

Helena. (n. str.) Wpadłam w łapkę... (Głośno.) Dzień dobry, panie de Trévières, jakże dojechałaś pan wczoraj do domu.

Trévières. Jak najlepij. (Posuwa jej krzesło.)

Helena. (n. str.) Nie ma rady. (Siada.)

Trévières. Dziwi panią zapewne że od niejakiego czasu tak często tu bywam?

Helena. Jeśli mam wyznać prawdę, nie zwróciłam na to uwagi.

Trévières. Przynajmniej zauważyłaś pani że nigdy nie przyjeżdżam tak rano jak dziś.

Helena. Prawda że jest za rano... A! może pan baron jeszcze nie po śniadaniu... Pójdę...

Trévières. Stokrotnie dziękuję! nigdy nie wyjeżdżam na czczo. (n. str.) Jakoś mi nie idzie. (Głośno.) Mam nadzieję że pani nie posądzasz mnie iż bez ważnej przyczyny przekraczam zwyczaj światowe.

Helena. Zapewne chcesz pan o czemś ważnym pomówić z moim kuzynem. Idę uprzedzić go...

Trévières. Nie, panno Heleno, nie jemu to mam wyznać...

Helena. (n. str. wesoło). Masz tam sobie.

Trévières. Ale pani...

Helena. (n. str.) Oświadczenie... Cóż za nieszczęśliwy dzień...

Trévières. Czy raczysz mnie pani wysłuchać?

Helena. (z komiczną rezygnacją). Słucham.

Trévières. Wyznaję pani, że potrzebowałem tego uroczystego zapewnienia, bo to o czem mam mówić wcale mnie nie dotyczy, a jakies przysłowie mówi „żeby się nie mięszać w cudze sprawy“.

Helena. Więc zatrzymaj się pan póki czas jeszcze.

Trévières. Nie, bo to co powiedziałem już zakłóciłoby twój spokój, panno Heleno.

Helena. O! możesz pan być o to zupełnie spokojny.

Trévières. Za chwilę może żywy niepokój szarpałby serce pani.

Helena. (n. str.) To pewna że stara się oto usilnie. (Głośno.) No, to uspokój mnie pan, kiedy już konieczne trzeba.

Trévières. Najpierw trzeba żebyś pani wiedziała, że po za rodzinnym kółkiem posiadasz przyjaciół pełnych nieograniczonego poświęcenia, którzy chętnie udziela ci dobrej rady, a nawet jeśli potrzeba, działać będą w twojem imieniu.

Helena. Ach! teraz ja proszę, mów pan.

Trévières. (n. str.) Przecie. (Głośno.) A więc wiedz pani iż powszechnie mówią że Mesnard jest blizkim bankrutem.

Helena. O nieba!

Trévières. Rzucił się w zbyt ryzykowne spekulacje, w skutku czego czeka go niechybna ruina.

Helena. Mój biedny opiekun! i ty! to przedemną...

Trévières. (nie dorozumiewając się). Domyślam się tego, i przybiegam zawiadomić panią..... rzeczywiście nie bez celu ukrywał przed panią...

Helena. Ale czyż się to godzi... przecież jesteśmy tak blizzy krewni.

Trévières. (n. str.) Dobrze idzie. (Głośno.) Ale tak.... z resztą nie zdał jeszcze rachunków z opieki... może rozporządzać funduszami pani.

Helena. Ach! prawda!.. Ja mam tak znaczny majątek...

Trévières. Dla tego właśnie uprzedzam panią...

Helena. O! dziękuję panu! Od tej chwili Mesnard ocalony...

Trévières. Co?

Helena. Ponieważ ja mam ośmkróć sto tysięcy fr.

Trévières. Dziewięćkróć—dwadzieścia, nie licząc procentu od procentów, składanych przez lat jedenaście, to jest od chwili kiedy miałaś pani szczęście stracić...

Helena. (nie słysząc co powiedział). Tak znaczna summa łatwo wyprowadzi go z kłopotów.

Trévières. Co pani mówisz?

Helena. Czyż nie odgadujesz pan że chcę ofiarować mu cały mój majątek.....

Trévières. (przerwywa prędko). Daj że pani pokój.... niezawodnie by przyjął.

Helena. A więc....

Trévières. Ja panią pojmuję doskonale, ale pani zupełnie mnie nie rozumiesz. W tej chwili powodujesz się pani pierwszym natchnieniem serca... bardzo to pięknie, nie ma co mówić... Już to ja zupełnie taki sam jestem w pierwszej chwili rządę się tylko sercem, ale nadchodzi druga....

Helena. (uśmiechając się). A w tej drugiej?

Trévières. O to już całkiem co innego.... Przeważnie pani jest pójść za męża, i mam nadzieję pójdziesz, jeżeli.... ale nie zaczynajmy od końca... A zatem tak ryzykowne ulokowanie summ posagowych mogłoby się bardzo nie podobać mężowi pani,... mógłby je uważać za bardzo, bardzo niepewne.... Już to ja wcalebym pani tego nie radził, przeciwnie..... Ach! spoglądasz na mnie z podziwieniem?

Helena. (pragnąc utrzymać poważną minę). Ależ nie, słucham pana z największym zajęciem. Kończ proszę!

Trévières. (nie poznając żartu). Kiedy tak, więc powiem ci otwarcie, panno Heleno, że wszystkie te wspaniałomyślne zachcianki, są bardzo, bardzo piękne, ale strasznie nie mądre. Poratujesz go w tej chwili, ale może zbankrutować drugi raz, majątek twój przepadnie, i wtedy nie pójdziesz za męża.

Helena. I cóż dalej?

Trévières. (poufnie). Nie powiedziano pani nic, więc udaj że nic nie wiesz... niech sobie radzą jak mogą.

Helena. (wybuchając śmiechem). Ach! panie de Trévières.

Trévières. (także śmiejąc się). A co!... O! już to ja jestem przede wszystkim człowiek praktyczny! (N. str. postrzegłszy wchodzącego Henryka). Ach! lichy go nadało!

Scena 3.

Ciż. Henryk.

Henryk. Zastaję państwo w wesołym usposobieniu.

Trévières. (cicho do Heleny). Nic pani nie mów.

(Do Henryka). Opowiadałem pannie Helenie pewną anegdotkę, i serdecznieśmy się uśmieśli.

Helena. (śmiejąc się). Rzeczywiście nigdy jeszcze nic nie znalazłam tak śmiesznym.

Trévières. (cicho). Przechrońność!

Helena. Dobrze, dobrze! Slicznie panu dziękuję. (Wychodzi).

Scena 4.

Henryk, Trévières.

Henryk. (do siebie patrząc na Helenę). Jak jej śmiech do twarzy!

Trévières. (ożywiouy). Mój przyjacielu jesteś dobry chłopiec, rozumny, śliczny, zachwycający, kocham cię jak rodzzonego brata i gdybyś zapotrzebował pieniędzy, powiedziałbym ci: „Kassa moja stoi dla ciebie otworem,“ ale w tej chwili chętnie wyprawiłbym cię do wszystkich djabłów.

Henryk. (wesoło). Przebóg!—cóż za straszną popelnieniem zbrodnię?

Trévières. Kiedy po tysiącnych zabiegach udało mi się nareszcie dobiec do upragnionego celu.... ona się śmiała i miałem już, już wystąpić z formalnym oświadczeniem,—lichy cię przyniósł i wszystko za nic.

Henryk. Chcesz to pobiegnę za nią....

Trévières. Tak śmieję się!... właśnie też pora do żartów.

Henryk. Jestem w rozpacz, kochany baronie.... ale przecież nie ma nic straconego, znajdzie się jeszcze sposobność....

Trévières. Kiedy?

Henryk. Za chwilę, wreszcie nie dziś to jutro.

Trévières. Jutro! jutro może być za późno... Mogą ją oszałamieć, oszukać, skłonić do zobowiązań.... a wtedy...

Henryk. Doprawdy nic a nic nie rozumiem.

Trévières. Jutro już cały świat dowie się może o ich rozpaczliwym położeniu.

Henryk. (uderzony temi słowy). Jakt! co chcesz powiedzieć baronie?

Trévières. Chcę powiedzieć że Mesnard zbankrutował.

Henryk. Jestżeś tego pewny?

Trévières. Hum! mówiono mi w klubie.

Henryk. I powtarzasz to bezmyślnie nie troszcząc się o następstwa.

Trévières. Dobryś! piękna mi tajemnica którą zna wójt i cała gromada... a z resztą, myślimy każdy o sobie, — interesa przede wszystkim.

Henryk. Dobrze więc, — będę korzystał z twój zasady.

Trévières. Co przez to rozumiesz.

Henryk. Nic, tak sobie... przyszła mi myśl...

Trévières. Ale jakąż?...

Henryk. Ach! myślimy każdy o sobie, — interes przede wszystkim.

Trévières. (n. str.) Jakies dzieciństwo! (Głośno.) Ach o to nadchodzi twój przyjaciel, zostawiam was — nie przeszkadzam.

Henryk. Zyczę szczęśliwej sposobności.

Trévières. (n. str.) Ach! gdybym tylko napotkał Helenę... (Wychodzi).

Scena 5.

Henryk, Paweł.

(Paweł wchodzi prędko, jest błądliwy i pomięszany, — przechodzi koło Henryka, ścisną go za rękę i siada).

Paweł. To nad moje siły!...

Henryk. (n. str.) Trévières prawdę mówił. (Głośno.) Co tobie, Pawle?

Paweł. Nic... tak...

Henryk. Nie ukrywaj nie przedemną bo wiem o wszystkim i jestem prawdziwym twoim przyjacielem.

Paweł. Skądże wiesz?

Henryk. Trévières powiedział mi w tej chwili.

Paweł. Ani wiem co robić.

Henryk. Odwagi, trzeba myśleć i działać nie tracąc czasu.

Paweł. Wiem o tem mój drogi, (z prostotą) ale cóż kiedy dają ci słowo nie jestem w stanie właściwie ocenić położenia! — mięsza mi się w głowie, i to jedno tylko jasno pojmuję że życie płocze i lekkomyślne nie jest tak nieszkodliwe jak się zdaje, — co najmniej wykrzywia nasze pojęcia i zaciemnia zdrowy sąd o rzeczach. Sumienie moje jest dziś jakby ze-

garek dziesięć lat nie nakręcany — nie chodzi regularnie. Jeden mi tylko pozostaje środek ratowania siostry, i sam nie wiem czy jest godziwy, rozum raz mówi tak, drugi raz nie to, znów uczuwam do niego wstręt nieprzparty... sumienie i rozum nieustannie zacięta staczają walkę... Sam nie wiem czego się trzymać... jestem jak biedny rozbitek daremnie szukający deski ocalenia.

Henryk. Czy chcesz mi zaufać?

Paweł. Och! tak... ty tak nie dawno zacząłeś brać udział w naszym hulastwie życia, a tem samem nie postradałeś jeszcze nieocenionego poczucia prawości i zdrowego sądu, proszę więc powiedz mi: czy w tak rozpaczliwym jak moje położeniu, można ożenić się wprost tylko dla interesu?

Henryk. Nie!

Paweł. Choćby dla ocalenia najdroższych osób?

Henryk. Nie!

Paweł. Czyż nie powinienem poświęcić się dla tych, których przywiódłem do upadku?

Henryk. Nie! nie! i jeszcze raz nie! lekarstwo byłoby stokrót gorsze od choroby... i jestem przekonany że i ty tak samo myślisz.

Paweł. Ach! ja już sam nie wiem co myślę... Wczoraj dopiero, nagle tak strasznie dotknięty ciosem, poznałem jak źle dotąd żyłem. Ja który miałem się za szczęśliwego, i mniemałem że jestem w swoim prawie, wiodąc tak nieużyteczne życie, w jednej chwili stałem się pastwą gorzkich wyrzutów sumienia, tem straszniejszych że nie zdołają zaradzić złemu. Ach! piekło cierpienia noszę w duszy! Straciłem niegodnie ogromny majątek, a dziś jedna jego cząstka mogłaby ocalić ukochaną siostrę i szwagra którego przywiódłem do upadku... I nic zrobić, nic wymyśleć nie mogę... jedno mi tylko pozostaje, ożenić się dla majątku. Lecz mogę poświęcić biedną dziewczynę dla ocalenia mojej rodziny, która całkiem jest dla niej obcą?... I cóż ona winna że ma majątek, aby miała pokutować za cudze winy?... Gdybyż to jeszcze była jaka rodzina dorobkiewiczów, pragnąca kupić za swe pieniądze pozorne uznanie, wkręcić się w wyższe towarzystwo, mógłbym sobie jeszcze powiedzieć, że po prostu handel mniej więcej korzystny, że sprzedaję mój tytuł za ich talary... ale ród i stanowisko panny de Solre, w niczem nie ustępuje mojemu; — młoda, piękna, ma prawo żądać miłości... a ja nie mam serca do oddania... O! masz słuszność, ożenić się z nią jedynie dla majątku, byłaby to nikczemność...

Henryk. Któręć ty nie jesteś zdolny popełnić.

Paweł. Tak... ale cóż mi pozostaje czynić?...

(z goryczą) Mój Boże! ileż to razy dawniej w dobrej wierze powtarzałem Mesnardowi: „Daj pokój nieużytecznym, przynajmniej nie szkodliwi.“ Fałsz! są szkodliwi dla siebie samych i dla innych... są to trutnie społeczeństwa!...

Henryk. Nie unos się!.. posłuchaj mnie spokojnie, jest środek ratunku.

Paweł. Jaki?...

Henryk. Bardzo prosty... Zapytaj szwagra czy zgadza się abym został jego współnikiem.

Paweł. Ty?... ale cóż na to powie twój ojciec?

Henryk. Jest tak dobry i tak do mnie przywiązany, że nie będzie się sprzeciwiał. Jedźmy dziś jeszcze... poproszę zarazem ojca, aby zechciał oświadczyć mnie o rękę Heleny.

Paweł. Co mówisz!!!

Henryk. Dziwisz się?... Eh! bo uprzedziłeś się że brzydka... Przypatrz się tylko ile jest wdzięku w jej obejściu pełnym taktu i godności, tak nieprzparty powab wieje z jej postaci... Doprawdy gotowym szaleć za nią!

Paweł. Ach!

Henryk. Pomyśl tylko jak się wszystko dobrze układa. Pożyczałeś na ogromne procenta, które pochłaniały dochody, ale spłaciwszy dług, pozostanie ci jeszcze połowa czystego majątku. Kupię od ciebie LaFortenoye, urządzisz interesy z resztą kapitału wejdiesz do naszej spółki... ja ożenię się z Heleną i wszyscy jedną utworzymy rodzinę i nierozłączymy się nigdy.

Paweł. (żywo i jakby mimowolnie). To być nie może!

Henryk. (zadziwiony). Czemu?

Paweł. (stara się zapanować nad sobą). Bo... bo muszę podnieść się w własnych oczach, muszę... muszę odjechać.

Henryk. (nalegając). Jestże to koniecznym?... powiedz przynajmniej czy pochwalasz mój zamiar.

Paweł. (z wysileniem). Tak.

Henryk. (j. w.). Szczęrze?

Paweł. (gorączkowo). Ach! tak... pomyśl wybory ocala nas wszystkich, a nadewszystko ocala siebie przed tem wszystkim co mnie dziś przygniata. Tak, Henryku, pochwalam twój zamiar, idę natychmiast do Mesnarda, wiem że chętnie zgodzi się na niego... a potem zaraz jedziemy do twego ojca... O! mój przyjacielu! straszny kamień spadł mi z serca, jestem... jestem bardzo szczęśliwy!

Henryk. Dzięki niebu!

Paweł. Idź mój drogi, przygotuj wszystko do odjazdu, nie traćmy czasu.

Henryk. Dobrze idę. (N. str.) Jest w tem coś... (Wychodzi).

scena 6.

Paweł, sam.

Paweł. (po chwili milczenia). Ożeni się z nią!... I cóż dziwnego! On dobry, zany, ukształcony, młody, a ja!... Ach! po cóż marzyłem tak słodko kiedy mnie tak strasznie czekało przebudzenie!... Ależ trzeba przecie być logicznym, cóż to? śmieję się, żartujemy jak dawniej... odkąd zacząłem myśleć i zastanawiać się, samo tylko cierpienie stało się moim udziałem...

scena 7.

Helena, Paweł.

Helena. (niespokojna). Ach! panie Pawle.

Paweł. Heleno!

Helena. Czy wiesz pan co się stało? czy wiesz jakie nieszczęście zagraża twojej siostrze i szwagrowi?

Paweł. Wiem niestety!

Helena. Nie chcą przyjąć moich pieniędzy.

Paweł. Więc ofiarowałaś im...

Helena. Wszystko co posiadam.

Paweł. Przebac!... powinienem się był tego domyśleć... Ale nie dziw się, panno Heleno, nie mogli przyjąć twój ofiary.

Helena. Ja wszystko przyjąłabym od nich.

Paweł. Pomyśl tylko coby powiedziano, gdyby ratował się twoim majątkiem. Zaledwie doszłaś pani pełnoletności, nie objęłaś jeszcze w posiadanie swego majątku, nie znasz go nawet dobrze, nie możesz więc rozporządzać nim na korzyść swego opiekuna zagrożonego bankructwem, bo powiedziano że nadużywał twój dobrej wiary i niedoświadczenia. Zastanów się tylko, a sama przyznasz że Mesnard powinien był odmówić.

Helena. Nigdy tego nie przyznam.

Paweł. Cóżby świat na to powiedział?

Helena. A co mnie obchodzą przesady świata! Czyż świat i ludzie troszczyli się o mnie, czy przysięgali mi z miłością gdy potrzebowała opieki i przywiązania? I z obawy fałszywych sądów mam patrzeć obojętnie na zgubę mojej rodziny, jedynych istot co mnie ukochały, i opływać w zbytkach, podczas gdy one walczyły z przeciwnościami i niedostatkiem!.. O! to istotna niedorzeczność... wolałabym już cały majątek oddać na szpital, aby okupić tem prawo do wspólnej z nimi walki z losem.

Paweł. Heleno!

Helena. Jest to moje niezłomne postanowienie... Ani lzy ani prośby moje, nie zdołały przełamać ich skrupułów, przychodzę więc prosić pana abyś ich nakłonił koniecznie...

Paweł. Ja!

Helena. Powtarzam panu, oni jedni są prawdziwą moją rodziną, oni jedni mnie kochają i życie mi uczynili znośnym. Od kolebki skazana byłam na gorzkie sieroctwo. Rodzice nigdy mnie nie kochali; gdy przyszła na świat mieli już dorosłe dzieci nie tylko mnie nie pragnęli, ale nawet uważali za zawadę, krzyżując zamiary które i tak niestety! nigdy nie miały przyjść do skutku. Nikt się mną nie zajmował, byłam na łasce sług, i jak kopcuszek, nie mogłam nawet pokazać się w pokojach.

Paweł. Biedne dziecię!

Helena. O! i bardzo biedne!.. Ach! gdyby pojmano jak smutne jest życie tych nieszczęśliwych istot pozbawionych miłości rodzicielskiej; poniewieranych i odrzuconych (energicznie) matki raczej wydarłyby sobie serca, niżli skazywały je na los tak straszny... A potem dziwią się naszym dzikości i nieśmiałości... Najczęściej jedne z takich dzieci stają się złe i przewrotne, inne umierają... Ja, na nieszczęście, przetrzymałam wszystko, ale nie zapomniałam co mi wyrzucano nieustannie, i zo stałam prze-

konana że jestem brzydka, straszna, odrażająca... wszyscy mnie unikali, nikt nie popieścił mnie nigdy. Tak trwało lat dziewięć, w końcu których śmierć zabrała mi rodziców, siostrę i braci... zostałam sierotą, Mesnard wziął mnie do siebie... Było to przejście z piekła do raju... a cóż dopiero gdy się ożenił z Aniela... I dziś miałabym zostawić ich w niedoli, ależ byłaby to potworna niewdzięczność... O tak! nie wolno mi się wahać... Panie Pawle i mnie odmówili ale przyjmą od pana, i... ożeni się ze mną.

Paweł. (tracąc głowę). Heleno!.. (Cofa się zgnębiony).

Helena. (z goryczą). Nie chcesz pan!.. więc rzeczywiście jestem odrażająco brzydka.

Paweł. Ach! jak możesz tak mówić, Heleno, i to właśnie w chwili, gdy dla ratowania mojej rodziny chcesz ogołocić się z całego mienia. Ale choćbyś nawet była najstraszliwiej brzydka ja widziałbym cię zawsze otoczoną świetną aureolą do broci i zaparcia siebie... Ty brzydka!.. Ach! więc sądzisz że już tak nisko upadłem...

Helena. Jednakże...

Paweł. (z jakimś rodzajem tłumionej wściekłości) Trzebaż abym właśnie w chwili gdy winienem wyrzec się ciebie na zawsze zmuszony był wyznać że cię kocham i uwielbiam! (Poruszenie Heleny.) Nie wierzysz mi!.. (Ze smutnym uśmiechem.) Niestety! mam przynajmniej tę smutną pociechę, iż mogę dać ci przekonywający dowód... wczoraj prosiłem Mesnarda o twoją rękę...

Helena. (niespokojna). I cóż?

Paweł. Odmówił, miał słuszność... Kto lekkomyślnie stracił majątek, nie powinien żenić się z osobą tak bogatą.

Helena. (uderzona jego słowy). Ach! zawsze to samo!.. Jestem za nadto bogata.

Paweł. (z boleścią). Teraz sama przyznasz że nie zostaje mi nic jak odjechać... (Bardzo wzruszonym głosem). Bywaj mi zdrowa, Heleno!.. (Wychodzi).

scena 8.

Helena, sama później Desrives.

Helena. Mój Boże! co ja pocznę!

Desrives. (wchodząc.) Czy zastałem pana Mesnarda?

Helena. Tak, jest w swoim gabinecie.

Desrives. Idę więc do niego!

Helena. Panie Desrives!

Desrives. (wracając.) Co pani rozkaże?

Helena. (nieco zmieszana.) Kuzyn mój mówił mi, że chciałeś pan widzieć się ze mną.

Desrives. Rzeczywiście, mam przedstawić pani rachunki.

Helena. Czy przyniosłeś je pan?

Desrives. Tak, więc chcesz pani?...

Helena. (przerywa). I owszem.

Desrives. (pokazując papiery.) A to minuta kopji którą pan Mesnard wręczył pani wczoraj. Czy mam przeczytać?

Helena. Nie trzeba. Więc cóż mam zrobić?

Desrives. Napisać tylko. „Powyższe rachunki w zupełności akceptuję“ i podpisać. (Podaje jej pióro) Czy chcesz pani podpisać?

Helena. Nie panie. (Spogląda na niego z lekliwą niespokojnością.)

Desrives. Zapewnie nie dość jasno się wytłumażyłem.

Helena. I owszem, zrozumiałam pana doskonale, ale nie podpiszę.

Desrives. Czemu?

Helena. Bo nie chcę tego majątku.

Desrives. Jakt! nie chcesz pani przyjąć spadku po ojcu!

Helena. (żywo.) A więc mogę to zrobić?

Desrives. Tak, ale...

Helena. (tryumfująco.) Ach! mogę nie przyjąć!

Desrives. Ależ, panno Heleno...

Helena. (stanowczo.) Nie chcę tego majątku, a w takim razie...

Desrives. Ale to niepodobna.

Helena. (gorączkowo.) Majątek ten przejdzie na mego opiekuna, jako najbliższego krewnego mego ojca. Wszak tak panie Desrives?... I nie mów pan że to niepodobienstwo, bo jestem pełnoletnią i panią swojej woli. (Pisze zrzeczenie.)

Desrives. Zastanów się pani...

Helena. (tryumfująco.) Już napisałam.

Desrives. To jest nieważne...

Helena. (spokojnie.) Ach! postanowienie moje jest niezłomne, pójdę jutro o którego z kolegów pana...

Desrives. Wieszże pani przynajmniej coby ci tylko zostało?

Helena. Skromny posag mojej matki.

Desrives. Nie, panno Heleno, tak być nie może, — obowiązek nakazuje mi zawiadomić opiekuna pani.

Helena. Dobrze, idź pan do niego.

Desrives. Nie bierz mi pani za złe...

Helena. Jak skoro jest to obowiązkiem pana, nie mam nic przeciw temu. (*Desrives* wychodzi).

scena 9.

Helena, później Henryk i Trévieres a' potem Mesnard, Aniela, Desrives nakoniec Paweł.

Helena (sama). Ach! przecie... Teraz już nie jestem za nadto bogata... Gdyby pomimo to odjechał (*Opiera się o stół.*)

Henryk (wchodząc z Tréviersem.) A co nie mówiłem! otóż masz upragnioną sposobność.

Trévieres. No, zobaczysz teraz.

Mesnard (prędko wybiegając z pomieszkania). Heleno! Heleno! cożś uczyniła!

Helena. Korzystałam z przysługującego mi prawa jest to pierwszy akt dokonany w skutek mego usamowolnienia.

Mesnard. A jeśli idąc za twoim przykładem i ja także zrzekę się tego spadku?

Henryk (n. str.) Ach! ona...

Helena (stanowczo). Rozstaliibyśmy się na zawsze.

Mesnard (postrzegając Pawła). Pawle! Pawle! chodź pomóż nam przeszkodzić Helenie, aby dla nas nie wyzwała się z majątku.

Helena (n. str.) Ach! on!...

Henryk (który przypatrywał się jej bacznie.) Teraz rozumiem... Biedna dziewczyna! ..

Paweł (przesuwając się). Panno Heleno, czy raczysz uczynić mi zaszczyt zostania moją żoną.

Helena (kryjąc twarz na ramieniu Anieli). Ach!...

Aniela. Będziesz szczęśliwa, Heleno!... on cię tak kocha!

Henryk (do Trévieresa). Czyż cię to nie wzrusza?...
Trévieres. Idź do diabła!

Paweł (trzymając Helenę pod rękę). No, Henryku, osiądźmy w Fortenoje, i będziem sadić kartofie.

Helena. Wszak przyjeżdżasz pan ich skosztować.

Henryk. Czemu nie... dobra to rzecz kartofle.

Mesnard. Szczególniej przyprawione pożyteczną pracą!

(Zasłona spada.)

KONIEC.

MŁOT I KOWADŁO

ROMANS W TRZECH CZĘŚCIACH

Fr. Spielhagena

przełożył z Niemieckiego Michał Głiszczyński.

Dalszy ciąg.

Z wielkim moim żalem pan Zehren wstał od stołu. Na podwórzu kręcili się strzelcy, psy szczekały a konie rżały. Konstancja przeciwko swojemu zwyczajowi, wysłała na taras i przywoławszy mię do siebie rzekła: „Nie mogę panu życzyć szczęścia a nie powinienam życzyć źle. Pożegnała mię ręką a innym ukłoniła się zaledwie i odeszła.

— Dokąd dziś pojedziemy? zapytałem się pana Zehren.

— Mówiliśmy o tem dosyć przy stole. Zdaje się że musiates być bardzo roztargniony.

Pierwszy to raz odezwał się do mnie tak ostrym tonem. Nieprzyjemne ztąd wrażenie musiało odbić się na mojej twarzy bo dodał zaraz.

— Nie było to nic tak złego, i rzeczywiście nie jesteś temu nic winien.

Kiedyśmy przybyli na pole, polowanie szło swoim porządkiem. Pan Zehren postawił mię dziś na lewym skrzydle a sam stanął na prawem; pierwszy raz rozłączyliśmy się, bo dotąd zawsze strzelaliśmy obok siebie, a on rad był niezmiernie kiedyś ubili daleko więcej zwierzyny niż wszyscy inni razem. Chybiałem dziś bardzo; kuropatwy umykały a mój pies Karo, darowany mi przez pana Zehren, zupełnie ogłupiał widząc jak pudłowałem. Ale moje myśli były gdzie indziej; widziałem że nie powinienem okazać mojej miłości dla panny Zehren, bo ojciec do-

brzeby mi za to zapłacić, a tak moje ulubione marzenie, pogodzenia ojca z córką uleciało z dymem.

W takim byłem usposobieniu kiedy pan Granów zbliżył się do mnie. Już się ściemniało, polowanie prawie się skończyło, i w krótkce znalazłem się sam na sam z małym okrągłym jegomością.

— Co tam było dzisiaj między panem i Dzikim?

— Cożby miało być? Nic nie było!

— Tak mi się zdawało, i inni to samo zauważyli.

Mogę upewnić, że w czasie obiadu często na pana spoglądał jakby cię chciał zjeść.

— Nie dałem mu do tego żadnego powodu.

— Wierzę temu! A po obiedzie zaledwie kilka słów wyrzekł.

Milczałem bo nie widziałem co odpowiedzieć.

— Tak, tak! Jest w tem coś! Ale nie biegnij tak prędko bo nie mogę wydażyć. Jesteś pan w przykrem położeniu.

— Dla czego?

— A bo to nie wiesz

— Nie wiem! Nie zrozumiał mojego przeczenia i mówił dalej.

— Jesteś pan młody to nie widzisz i nie słyszysz tego, co my ludzie obyli ze światem odrazu dojrzymy. Stary i panna żyją jak pies z kotem, a powiedziawszy prawdę mają słuszne do tego powody. Z własnej winy prowadzi takie przykre bardzo życie; on znowu chciałby się jej pozbyć ale kto ją weźmie? Obejrzałem ten interes ze wszystkich stron, nie się tu nie da zrobić.

Słyszac te wyrazy nie wiedziałem co począć: czy rzucić o ziemię bezwstydnego oszczercę czy się śmiać. Spojrzawszy na jego głupią figurę w głos się rozśmiałem.

— Nie wiem z czego się pan śmiejesz? powiedział więcej zdziwiony jak rozgniewany. Może dzisiejsza scena przy stole, którą przed panem i przed nami odegrała, wlała ci do głowy. Właśnie chciałem pana przestrzedz...

— Co pan przez to rozumiesz? zawołałem już zimny i znękany.

— W gruncie rzeczy nie mogę panu brać tego za złe. Jesteś tak młody! ja sam jeszcze nie obrachowałem się ostatecznie z kobietami. Ale to widzę jasno, że na złość swojemu ojcu a może przez dumę albo też żeby się tem droższą uczynić, przybrała tą postawę księżniczki i postępuje z nami tak, jakbyśmy dla niej nie istnieli na ziemi. Kiedy tak nagle zaczęła do pana przy stole, w obec nas wszystkich słodkie oczy robić, co zresztą było istnym żartem, bez żadnego następstwa, rozgniewało to niewymownie starego. Pan nie uważał tego, ale mogę zapewnić że gryzł sobie wargi i gaskał brodę, co zawsze robi kiedy mu się co niepodoba.

Mały ani się domyślał jaką burzę wywołał w mem sercu, a biorąc moje milczenie za uznanie jego mądrych i głębokich wywodów, mówił dalej:

— Jak Boga kocham! postępowanie panny Zehren musiało staremu pomylić rachunki. Czy wiesz wiele już do niego przegrałem przez te sześć miesięcy jak tu jestem? Przeszło 800 talarów, a Trantów dwa razy tyle i inni także głośno się skarżą. Miał szalone szczęście. Prawda że czasami przegrywa i wtedy każe sobie płacić za wino, za koniak i za cygara — a jakie ceny nakłada to zgroza! No! dla miłości ładnej dziewczyny, chętnie się puści parę setek i nie patrzy się tak bardzo na ręce starego. Dawniej wszystko tu było inaczej. Dawniej grywała z nami w karty i paliła cygara; jeździła na polowanie a zawsze na najzuchwalszym koniu; prowadzono tu prawdziwie pogańskie życie! Ale od lata, od owiej historii z księciem...

— Co to za historia? zawołałem niezmiernie zaciekawiony i przerażony zarazem. Nie dbałem już nic na to że Granów szkaluje mojego dobrego gospodarza i moją upóstwioną dziewicę. Rachunek z nim odłożyłem na później, żeby się teraz od niego wszystkiego dowiedzieć.

— I o tem nie wiesz? Ale też mógł ci to powiedzieć? Trantów jest niemy jak ryba a inni nie wiedzą co się tu dzieje. Jestem pewny że nie jesteś szpiegiem *Dzika*, chociaż mieszkasz pod jednym z nim dachem. Nie powtórzysz mu tego co ci powiedziałem.

— Nie, nie!

— Historia jest taka. Tego lata był z nią stary u wód. Jak pan wiesz u wód na wiele rzeczy się nie zważa, Dzik był wszędzie przyjmowany. Bawił tam i młody książę Prora ze swoim nauczycielem i umiał używać wolności, bo ojciec był w stolicy a nauczy-

ciel, jak zwykle, był ślepy. Właśnie wtedy kupiłem tu majątek, byłem także w D. u wód i widziałem sam dużo rzeczy a resztę mi dopowiedziano. Grano ogromnie, szczególnie w prywatnych domach, książę był zawsze ze starym; jedni mówili że dla gry, drudzy że umizgał się do panny — zapewne oboje razem. Nie raz widziałem razem spacerujących lub siedzących w ogrodzie, a że wesoło się bawili mogę sam zaświadczyć. Stary grał nieszczęśliwie i przegrał do księcia 20,000 talarów, które miał za dwa dni zapłacić. Zkąd tu wziąć tak ogromną sumę? Stary chwycił się haniebnego środka jak powiadają: chciał sprzedać córkę księciu za 200,000 talarów. Książę był bardzo bogaty, ale dopóki ojciec jego żył, miał tylko w rękę majątek matki, który mu nie wiele przynosił. Handel długo się ciągnął, aż wreszcie stary książę, zawiadomiony o tem, nagle się zjawił u wód i ofiarował Zehrenowi znaczną sumę, aby tylko z córką zaraz za granicę wyjechał. Zehren, dumny jak szatan, ze wzgardą odrzucił warunek, a ponieważ kiedy jeszcze był młodym, kochał żonę starego księcia hrabiankę v. Sylow, kiedy była panną i był od niej kochanym, wszystko to rozjątrzyło zawziętość dawnych dobrych znajomych i pewnego dnia przyniesiono księcia prawie umarłego do hotelu, a Zehren z córką zaraz wyjechał.

— A młody książę?

— Co go to miało obchodzić! kocha się we wszystkich ładnych kobietach i żyje sobie swobodnie i przyjemnie. Ciekawym jak się teraz znajdzie, kiedy mieszka w zamku Rossow; zdaje mi się, że po tem co zaszło nie bardzo mu przyjemnie bawie w tych okolicach: ja przynajmniej nie chciałbym się spotkać z *Dzikim*, gdybym wiedział że mój ojciec ciężko go obraził.

— Jak on wygląda?

— Ładny chłopiec, bardzo zgrabny, elegancki i miły; myślę że panna Zehren nie bardzo jest wdzięczną ojcu, że ją pozbawił takiej partji; bo muszę przyznać że nie a nie nie wiedział o tem co między starym i księżętami zaszło. Inni utrzymują przeciwnie, ale to proste oszczerstwo zapewne!

Słuchałem opowiadania Granowa z taką chęćwoscją, jak gdyby moje życie od tego zależało. Ażatem książę v. Prora był owym „dla którego zgubiła biedną swoją duszę.“ Teraz wiem już dla czego się zarumieniła, kiedy Granów o księciu wspomniał; teraz wiem już co znaczyła owa tajemnicza postać w parku, która mi uciekła. Gdybym ją był schwytał!.. Jęczałem ze złości i żalu.

— Jesteś pan zmęczony, powiedział mały panek, a do tego jeszcze zdaje mi się żeśmy zabłądzili. Musimy nałożyć dużo drogi. Wy olbrzymi jesteście wcale nie wytrzymali; miałem w moim pułku kaprała, jeszcze wyższego niż pan, a nie mógł nigdy dogonić mię, założyłem się z nim raz... Co to jest? krzyknął nagle. Jakiś człowiek pokazał się o kilka kroków od nas i zniknął.

— Przybliżmy się! zawołałem.

— Na miłość bożką! zostaliśmy tu.

— A może się temu nieznanemu jakie nieszczęście przytrafiło?... Proszę pana idźmy! Ale Granów tak mocno mię trzymał i tak bardzo prosił, że zostałem. Nie długo potem usłyszeliśmy za sobą lekkie gwizdanie. Obejrzałem się nagle; nieznanomy pokazał się znowu, szedł prosto przez wrzosa, nie długo pokazał się drugi człowiek, potem trzeci, czwarty, na rachowałem ich ośmiu wszyscy nieśli ogromne paki, mimo to szli prędko i wkrótce zniknęli nam z oczów jakby ich bagno pochłonęło. Granów odetchnął ciężko.

— Widzisz pan, że miałem słuszność nie chcąc tam iść. Te przekłete chłopcy chodzą jak szczury po takich miejscach, w których dobry chrześcianin zarazby utonął. Założę się że to byli ludzie Zehrena.

— Co pan mówisz?

— W istocie my tu wszyscy przemycamy, a przynajmniej wszyscy korzystamy z kontrabandy. Chociaż niedawno tu jestem, przekonałem się, że gdyby na ich sprawki przez szpary nie patrzyć, to podpalał ci dom i zboże na cztery rogi. To jeszcze nie wszystko, bo nieraz trzeba im pomódz i schronienie dawać: właśnie onegdaj to samo mi się przytrafiło. Stałem sobie w ogródku, kiedy nagle zadyszany człowiek stanął przy mnie i żądał żebym go ukrył bo żandarm tuż jest za nim. Wsadziłem go w komin w oranżerji, a kiedy żandarm nadjechał oświadczyłem mu że widziałem jak ścigany umknął do lasu. Słowo honoru że mię wstyd było tego kłamstwa ale cóż było robić. Nie chciałem panu mówić o tem że i Dzik

jest przemytnikiem i prowadzi te rzemiosło na ogromną skalę. Oszalał prawdziwie bo to za gruba gra! Zle się to skończy, tak wszyscy utrzymują.

— Ależ bawie tu już sześć tygodni, mówiłem jak mogłem najspokojniej i daję panu na to moje słowo, że nie widział ani razu nic podobnego, coby mogło potwierdzić domysły przyjaciół i nieprzyjaciół Zehrena, że się trudni kontrabandą. Przyznam się panu, że w pierwszych dniach mojego tu pobytu i mnie przychodziły podobne myśli, ale odpychałem całymi siłami takie hańbiące podejrzenie.

— Podejrzenie! podejrzenie! gadał Granów idąc prędko; tu nie ma żadnego podejrzenia, tu jest pewność, jak amen w pacierzu. Żeś pan nie nie dojrzał to mię bardzo dziwi, ale to zapewne dla tego że czas był dotąd bardzo pogodny, czego przemytnicy nie lubią. Ze handelek nie ustał toś pan sam widział. Nie raz strach mię przejmuję, kiedy pomyślę że mieszkam w pośród takich zbrodniarzy. Tydzień temu musiałem wziąć od niego kilka beczek czerwonego wina i koniaku, i Trantów także a Syłow jeszcze więcej, bo on tam dalej komuś sprzedaje.

— A dla czegożby nie wolno było panu Zehren udzielać, co mu się podoba, ze swoich zapasów? zapytałem ostro.

— Ze swoich zapasów! krzyknął Granów; zapewne mu one jeszcze z przeszłej jesieni pozostały; ma on tych zapasów tyle, że mógł by cały ten obwód zapatrzeć. To właśnie mu nie na rękę, bo on musi dowódczom kontrabandzystów płacić gotówką za wszystko, a zbycie kontrabandy staje się co dzień trudniejszym, bo mieszkańcy okolicznych miast cokolwiek stchórzyli, bojąc się zdrady i wielkich kar. Nikt nikomu nie ufa, bo się namnożyło przedsiębiorców. Dawniej były tylko dwie firmy renomowane... ale pan musisz dobrze to wiedzieć bo ojciec pana jest urzędnikiem celnym.

— A tak! i tem więcej dziwi mię pańskie podejrzenie, że nigdy w tych sprawach celnych nie słyssał nazwiska pana Zehrena.

— Ale któż tu mówi o podejrzeniu, wrzeszczał mały z gniewem; i tu jest to samo co wszędzie; wieszają małych złodziei a wypuszczają dużych. Panowie urzędnicy wiedzą dobrze co robią. Kilka talarów albo lujdorów zamyka im oczy a ponieważ Dzik jest bratem radcy skarbowego; to czyż mógłby być dyrektor celnictwa tak niegrzecznym i niepokoić brata pana radcy?

— To jest obraza! panie Granów; wszakże powiedziałem panu że ojciec mój jest także urzędnikiem celnym.

— No! no! zdaje mi się że nie jesteś z ojcem na przyjacielskiej stopie; a skoro cię z domu wypędził...

— To nie powinno nikogo obchodzić tylko pana Zehrena, który mię przyjął do swojego domu i był dla mnie ciągle dobrym i życzliwym. Ze mię ojciec wypędził, bo miał do tego dużo powodów. To nie ma żadnego związku z jego prawością, i zabiję jak psa, każdego kto na honor mojego ojca nastaje.

Granów nie domyślał się wcale, że jego opowiadanie rozdarło mi serce w kawalki, to też wybuch mój, który czekał tylko sposobnej chwili, musiał mu się wydać niepojętym i strasznym. Młody człowiek, którego on za nic nie uważał, ale o którego nadwyzajnej sile dobrze wiedział, grozi mu śmiercią, to nie ma żartu. Uciecby mógł ale się bał fuzyi, spuścił tedy z tonu i zaczął uniewinniać się, że nie miał zamiaru obrazić mię, że mój ojciec jest zaenym chociaż celnym urzędnikiem i zapewne nie chce wykierować swego syna na przemytnika; że nie mogę być, z moją młodą i otwartą twarzą szpiegiem komory celnej, i że wreszcie wszystko co o Zehrenie mówią z powietrza połapane, boć ludzie lubią o bliźnich rozprawiać i łaki im przypinać, a on sam niedawno tu jest i nie może wszystkiego dokładnie wiedzieć.

— Obok tego wszystkiego będzie mi bardzo przyjemnie, jeżeli pan zechce wejść pod mój dach i wypić ze mną kieliszek wina?

Nie rozumiałem wcale co on mówił, bo burza straszna huczała w mój duszy odpowiedziałem że do brze, poprosiłem go żeby mię przed Zehrenem wymówił i poszedłem przez ugór, znajomą mi drogą, która od Melchowa, majątku Granowa prowadziła do Zehrendorfu.

ROZDZIAŁ XI.

Poranek następny był tak piękny, że mógł uspokoić jeszcze więcej znekane serce niż moje, a w dodatku byłem tak zmęczony, że prędko usnął i tak twardo spałem, że sobie musiał po mału przypo-

minać co mi wczoraj w nocy Granów opowiedział. Pomału głowa mi się rozpalala, w pokoju było mi za ciasno i jak zwykle w ciężkich chwilach, uciekłem pod otwarte niebo do parku. Błąkałem się między wysokimi drzewami, z oczami w ziemię wlepionymi, chcąc sobie rozjaśnić obecne moje położenie. Prawdę wczoraj Granowowi powiedziałem, że od czasu, kiedy byłem w Zehrendorfie, nie widziałem nigdy nic takiego coby moje podejrzenie mogło usprawiedliwić! Przez cały ten czas prawie zawsze byłem obok pana Zehren. Nie widziałem nigdy żadnych obcych ludzi, żadnych nocnych schadzek; nigdy nie przywożono żadnych towarów, oprócz kilku beczek wina i koniaku. Ludzie w dobrach Zehrena wyglądali wprawdzie zupełnie nie na rolników, a szczególniej Długi Jan nie musiał mieć czystego sumienia, ale wszyscy wieśniacy okoliczni, bliżej morza mieszkający, mieli minę rozbójników morskich, jak zwykle rybacy i przewoźnicy. Ze banda którąś wczoraj widzieli, nie składała się z ludzi Zehrena przekonałem się dowodnie, kiedy zaraz rano zobaczył Jana i wielu innych spokojnie przed chatkami swemi siedzących.

Przypuściwszy zresztą że pan Zehren był tym za jakiego go uważano, to nie robił wcale nic gorszego od innych. Wszakże wszyscy po trochu przemycali, powiedział Granów, kiedy cała okoliczna szlachta nie wstydziała się mieć w piwnicach przemycanego wina to nie ma o co krzyczyć na pana Zehren; tyle tylko można była mu zarzucić, że jak we wszystkim tak i w tem był od innych śmielszym. więcej przedsiębiorczym. A w końcu, tyle mu byłem winien! Tak był zawsze dobrym i przyjacielskim dla mnie! Mamże go zaraz z powodu gadanin głupiego papli, porzucić? Dał mi najlepszego psa i najlepszą dubeltówkę, jego sakiewka i sygarniczka były zawsze dla mnie otwarte... A co za sygara. Nie, nie porzucę go chociażby był rzeczywistym kontrabandystą, kontrabandystą z powołania. A jak się o tem przekonać? Najprościej rzecz zapytać się samego pana Zehren! Miałem do tego prawo. W okolicy wątpiono o mojej prawości, nie wiedziano bowiem co ja robię w Zehrendorfie, nie mogłem na to pozwolić. Wszak nie mógł odemnie wymagać tego, żeby mię uważano albo za szpiega albo za jego pomocnika? A jeżeli mi odpowie: to idź sobie gdzie chcesz, nie zatrzymuję cię? Usiadłem w końcu parku na kamiennym ławce, oparłszy ręce na stole a głowę na rękach, spoglądając osłupiały na zamek. Jakże mocno ukochałem ten walący się w gruzy zamek! Jak już dobrze znałem wszystkie jego pietra, pokoje, okiennice i kominy. Tam na lewo w rogu był mój pokój, mój poetyczny pokój z drogiemi starymi meblami, w których rozpierałem się jakby jaki król. He to szczególnych godzin przeżyłem w tym pokoju! Rano zbierałem się na polowanie, wieczorom rozgrzano winem grą i wesołą rozmową siadałem w oknie, zapalałem cygaro i marzyłem jak student, a marzenia te kończyły się zawsze na Konstancji, która sobie spokojnie zasypiała niedaleko odemnie. Co ten szkaradny człowiek wczoraj na nią nie nagadał! Zaledwie śmiałem powtórzyć sobie to w myśli; nie pojmowałem jak mogłem tego wszystkiego wysłuchać i kości mu nie pogruchotać. Powalać tak święty mój obraz! podły zawistny i zły człowiek. Rzeczywiście wielka to zbrodnia, że nie chciała takiego kochanka, ani żadnego jemu podobnego.

Dla tego szkalują ją teraz że ją chciano sprzedać; ona tak szlachetna, czysta i piękna, że nawet tron królewski nie byłby dla niej za wysoki. Czy była gdzieś głowa godniejsza korony? Czy była gdzieś kobieta dla której by lepiej przystawał purpurowy płaszcz? Mój Boże! nie chciałem nic dla siebie; byłbym zadowolony gdybym się mógł dotknąć obrąbka jej sukni. Ale i inni zapewne ją uwielbiają tak jak ja! Nikt, chociażby był księciem lub królem, nie zbliżył się do niej bez jej pozwolenia; będę spał jak pies przy jej progu. Tym to sposobem dręczyłem moje młode serce, pełne tęsknoty i zachceń wszelakich; a to dla tego, że wierzyłem w niewinność i wielkoduszność mojej ukochanej. Muszę prawdę powiedzieć, że nie było w całym moim cielem ani kropelki krwi, którąby do niej nie należała. Byłbym oddał dla niej życie i duszę, gdyby była tego odemnie zażądała, gdyby była szczerze ze mną postąpiła. Czy to było przecucie, że nie długo już żyć będę w tej wymarzonej i świętej dla mnie krainie, bo mi głowa jeszcze ciężiej opadła na ręce i gorące łzy polały się z moich oczów.

Porwałem się z miejsca, bo mi się zdawało że coś zaszeleściło obok mnie i nie omyliłem się. Droga

od buków nadeszła Konstancja. Byłem tak zmieszany, że zapomniałem otrzeć łez.

— Dobry Jerzy! rzekła podając mi rękę; czyż nie prawda, że jesteś moim prawdziwym przyjacielem? Pozwól mi usiąść na chwilę przy tobie, jestem bardzo zmęczona bom była już przy sadzawce i przy zwaliskach. Czy przypominasz sobie żeśmy tam już nie byli drugi raz razem? Myślałam dziś rano o tem i żal mi się zrobiło. Jak tam pięknie! Jak dobrze z tobą iść i rozmawiać. Czemu nieprzyszedłeś wywabić mię w tamtą stronę? Czyż nie pamiętasz coś mi przyrzekł? Chciałeś być moim wiernym Jerzym i wszystkie smoki odemnie odpędzić! Hez ich już zabiłeś? I patrzyła na mnie z pod długich rzęsów swojemi oczami tak dziwnie, że mi nie był w stanie nie odpowiedzieć.

— Dla czego mi nie nie odpowiadasz? Czy ci mój ojciec zakazał mówić ze mną?

— Nie! ale nie wiem czy pani nie żartuje ze mnie. Od bardzo dawno była pani dla mnie obojętną i zimną. Nie śmiałem nie tylko mówić, ale nawet patrzyć na panią.

— I zapewne nie domyślasz się dla czego przez jakiś czas byłam mniej życzliwą?

— Nie! zapewne dla tego że ojciec pani tak bardzo mnie lubi. Ale czy ja co winien temu!

Chmura jakaś przeciągnęła po nad jej czołem.

— A gdyby tak było! Czy możesz brać mi to za złe? Ojciec mój nie kocha mię, dał mi już tego dużo dowodów. Jakże może kochać mię ten który wysoko ceni mojego ojca? Który może powtarza mi każde moje słowo i tym sposobem pomnaża liczbę plotkarzy i szpiegów, co mię zawsze otaczają? Który tem jest niebezpieczniejszy, że od niego czego innego się spodziewała a nie zdrady?

— Zdrady! odemnie zdrady! zawołałem przelękniony.

— Tak zdrady! mówiła prędko i namiętnie. Wiem że moje garderobiane Zofię wygnano; wiem że stary Krystian pilnuje mię ciągle jak więźnia, kto wie czy i stara Pahlen nie sprzedaje mię za kilka lub kilkanaście talarów. Tak jest! wszystkie mię zdadzają! Co się tyczy pana, to dla pańskich niebieskich oczów przyznaję, że mię się może omyliła, chociaż miałam dużo powodów do posądzenia.

Słowa Konstancji dodały mi odwagi, prosiłem ją, zaklinałem, żeby mi powiedziała co ma przeciwko mnie.

— Dobrze! powiem wszystko! Czy to był pozór czy prawda, żeś zaraz pierwszego dnia po swoim przybyciu, z rozkazu ojca, zaciągnął wartę przed moimi oknami, niby to zwabiony moim graniem i śpiewem?

Kiedy to mówiła wzrok jej stał się ponurym i zawziętym, wzrok ten był dla mnie straszniejszym niż mowa. A zatem owa tajemnicza postać dla niej tu przyszła i musiała być drugi raz potem, bo z każdej mogła się o naszym spotkaniu dowiedzieć?

— Nie tłómacz się! Nie umiesz jeszcze dobrze sztuki udawania i ukrywania się. A ja dobrodusza myślałam sobie że jesteś moim wiernym Jerzym. O małym się nie rozpłakał z żalu i ze złości!

— Na miłość boską, nie potępij mię dopóki mię nie wysłuchasz. Poszedłem do parku bez żadnej myśli — nie spodziewałem się wcale że się z nim... z kim spotkam. Gdybym był wiedział, że ten człowiek nie przychodzi tu bez pozwolenia pani, byłbym mu wcale nie przeszkadzał dojść tam, gdzie jak się zdaje, był z utęsknieniem oczekiwany.

— Kto panu mówi że przyszedł za moim pozwoleniem i że był oczekiwany? wyrzekła gwałtownym tonem.

— Pani sama! odpowiedziałem prędko, bo z kąd pani możesz wiedzieć o tem, czego nikt nie wie tylko ja i on.

Konstancja spojrziała na mnie z przelotnym uśmiechem.

— Ho! ho! rzekła, jak dowcipnie umiemy kombinować! Ktoby był spodziewał się tego po nas. Ale mylisz się. Wiem o tem od niego to prawda, ale przyszedł tu bez mego pozwolenia i nie był oczekiwany. Co więcej, przysięgam że nie wiedział że on tu jest tak blisko. A co dalej? pytają mi się oczy pana. Teraz daleko on już odemnie. Pisał z drogi, że chciał owego wieczoru zobaczyć mię i udzielić mi wiadomość której nie chciał przesłać przez kogo innego. Odpisałam mu, że już dowiedziałam się owęj nowiny od kogo innego i że proszę go, ażeby dla swojej i mojej spokojności nie starał się do mnie zbliżyć. Oto wszystko i tak już na za-

PRZEGLĄD

LITERACKI, ARTYSTYCZNY, TEATRALNY
I RÓŻNE WIADOMOŚCI.

wsze zostanie. Nie mam zwyczaju wymagać od tych co mię kochają żeby mi byt i przyszłość swoją w ofierze składali, a właśnie o to chodziło. Ów człowiek bez pozwolenia ojca, nie może żadnych związków zawierać a mój ojciec postarał się o to że to pozwolenie stało się niemożliwym. Będzie wolnym dopiero po śmierci ojca, może dużo czasu jeszcze przed tem upłynąć a ja nie chcę żeby był niewolnikiem.

— I on przystał na to? zawołałem oburzony, zamiast wyrzec się dziedzictwa i tytułów, wyrzekł się pani, zamiast dać się w kawałki porąbać oddalił się? I ten człowiek nazywa się księciem i posiada miliony.

— To pan wiesz kto on jest? dodała z goryczą trochę zmieszana. Jakżebyś nie miał wiedzieć, kiedy jesteś ulubieńcem mojego ojca i zapewne zaraz pierwszego dnia opowiedział całą historję a pan jemu spotkanie swoje z księciem.

— Nie pisałem i słówka o tem przed nikim, i pan Zehren także nie wyrzekł przy mnie ani razu nazwiska księcia!

— Czy to nazwisko konieczne? Można i bez nazwiska dużo rzeczy wyraźnie powiedzieć. Może ci ojciec co powiedział, ale zapewne nie powiedział tego, żeśmy się ja i Karol żaręczyli, że związek ten z jego tylko winy nie przyszedł do skutku, i że nie tylko pozabawił mię świetnej przyszłości ale nadto uczynił mi pobyt w tym domu nieznośnym. Zabił moją matkę i mnie może zapewne zabije.

— Na miłość boską nie mów pani tego.

— Życie tu nie jest życiem, to jest śmierć! wyrzekała po cichu a głowa jej opadała na ręce.

— Więc go pani kocha jeszcze, chociaż panią opuścił?

— Nie! wyrzekała wyprostowawszy się: Nie! Powiedziała już że tak jest i będzie na wieki. Wyrzekała się go dobrowolnie, jestem za dumną na to żeby oddawać moje serce temu, który mi nie oddaje wszystkiego. A czyż można mój Jerzy, dać co więcej kiedy się daje serce?

Chciałem odpowiedzieć: Oto masz pani moje wszystko, ale nie mogłem ani jednego słowa przemówić. Choć zapewne widać to było w moich oczach, bo całe moje serce pełne wiernej i szalonej miłości wybiło się w nich, kiedy uściskał mi rękę, rzekła:

— Dobry Jerzy! wierzę ci że jesteś moim przyjacięlem. A teraz kiedyśmy już wypowiedzieli nasze troski, chodźmy do domu, bo stara Pahlen czeka zapewne na mnie ze śniadaniem. Nagle wpadła znowu na ton w jakim tę rozmowę ze mną rozpoczęła i mówiła dalej.

— Idź dzisiaj na polowanie! I ja kiedyś lubiłam polowanie, ale to już dawno, bardzo dawno temu. Byłam kiedyś śmiałą amazonką ale dziś nie utrzymałabym się w siodle. Zapomniałam wszystkiego nawet tego od czego się życie zaczyna — wesołości. Ty Jerzy ciągle jesteś wesoły; słyszę nie raz rano jak sobie wyśpiewujesz wesołe piosnki, musisz mię ich nauczyć, bo ja umiem same smutne śpiewy.

Co za rozkosz słyszyć ją tak mówiącą! Ale jak dawniej jej wzgardliwa obojętność tak i teraz jej niespodziewana dobroć uczyniła mię niemy i cichym. Szedłem obok niej szczęśliwy a kiedyśmy doszli do tarasu przed zamkiem rozłączyliśmy się uściskawszy sobie jeszcze raz ręce.

W kilku skokach byłem już na piętrze, wpadłem jak burza do mojego pokoju i stanąłem na progu przerażony, ujrawszy pana Zehren siedzącego w krzesle przy oknie.

— Kazałeś mi długo na siebie czekać, siedzę tu już więcej niż godzinę — rzekł odwróciwszy do mnie głowę.

Wcale mię to nie uspokoiło, z mojego okna widać było dobrze i kamienną ławkę w parku i drogę z tamtąd do zamku. Jeżeli pan Zehren siedział tu już od godziny to musiał widzieć wszystko. Pomieszany przywitałem go a niepokój dobrego Jerzego nie o mało podrósł, kiedy pan Zehren wskazując na ławkę odezwał się:

— Marja Stuart, mój Jerzy. Czy nie prawda? Okrutny dozorca więzienia z wielkim pękiem kluczy. Melancholiczny Mortimer. Życie jest chwilką i śmierć także! Zdradca lord Lester, który miał ten wygodny zwyczaj, że zawsze był na okręcie płynącym do Francji kiedy szło o życie.

(d. c. n.)

Obrazy na wystawie. — Cynk — Florjan Suchodolski — Kostrzewski — Gościński — Malinowski — Ruśkiewicz.

Z pomiędzy historycznych obrazów jakich kilka znajduje się na wystawie, jeżeli nie wykonaniem to kompozycją zwraca na siebie uwagę obraz p. Cynka, przedstawiający ostatnie widzenie się Jadwigi z Wilhelmem w refektarzu OO. Franciszkanów w Krakowie. Jadwiga w długiej powłóczystej sukni stojąc na środku wskazuje ręką na ukrzyżowanego Chrystusa, przy niej bezwładnie siedzi na ziemi zrozpaczony Wilhelm, który klęcząc przed chwilą przed ukochaną dziewczą, stanowiąc rozdział odebrał odpowiedź. Na boku w konfesjonale zakonnica zajęta jest modlitwą, a w głębi z drugiej strony widać zakonnika usunętego zupełnie ze sceny, którą artysta obrał za przedmiot do swojej pracy. W wykonaniu całe otoczenie jest wybornie odwzorowane. Ułożenie sukni na Jadwidze i płaszcza pielgrzymiego spadającego z Wilhelma, spodnie ubranie jego aksamitne, koloryt, wszystko starannie oddane przemawia bardzo pochwlelnie za talentem artysty. W głównych jednak postaciach brak życia, jakaś sztywność w nich panuje, świadcząca jasno, że artysta do pozowania nie użył żywych osób ale figur sztucznych jakimi malarze zwykli się posługiwać. Sztywność ta szczególnie w Jadwidze psuje niezmiernie efekt, z tąd brak w wyrazie jej twarzy, religijnego poddania się bolesnej konieczności, a w Wilhelmie rozpacz wywołującej zawsze współczucie. Barwa ta o jakiejś głównie myślał artysta, nie jest stara zupełnie, ale spotęgowanie jej nie dochodzi do rozmiarów jakich treść obrazu wymaga. Prawda, że dla oddania jej niepospolitego potrzeba natchnienia, owego blasku iskry Bożej co na jaw wyprowadza to, co w głębi duszy poczuł: bez niego jednak nie artysta prawdziwie pięknego nie utworzył. A obraz pana Cynka byłby pięknym, gdyby myśl jego z równą siłą oddana była jak szata w której się przedstawia.

Pana Suchodolskiego zjazd na polowaniu przedstawia trzech konnych jeźdźców z dawnych czasów, pomiędzy którymi mieści się nawet szlachcic karmazyn. Zajęci są rozmową z leśniczym który ze zdjętą czapką, dubeltówką na plecach i ogarem przy nogaach daje jakieś objaśnienia dotyczące zapewne myśliwskiego zajęcia. Ładny to obraz, konie oddane z widocznym amatorem, nie wadziłoby tylko pomieścić kilku chartów, bez nich bowiem jeźdźcy wyglądają więcej na używających przejażdżki jak na myśliwych. Pan Kostrzewski dał zato podwójne polowanie i oba jasno i zrozumiale przedstawił. Pod lasem z dubeltówką na plecach stoi myśliwy, który zdaje się opuszczać niewdzięczną knieję wraz z towarzysztwem, bo nie widać przy nich żadnej zdobyczy. Przed nim z gołą głową, w kornej postawie znajduje się żydek i wydobywając rewera z bocznej kieszeni, przypomina nieśmiało zobowiązanie. Łowy na wierzyciela powiodły się, uchwycił go choć z trudem zapewne, bo biedka którą objazdy dopełnia stoi daleko na drodze. Widocznie lękając się aby mu zwierzyzna nie uciekła, rzucił wszystko i podyrzał szybko na jej spotkanie. Czy ze skutkiem? Sądząc z miny myśliwego, kwaśnej, niechętniej, zdaje się że kieszeń jego równie pusta jak torba, i że polowanie na niego bez plonu pozostanie. Co do wykonania, te same w niem wady i przymioty, jakie wszystkie prace p. Kostrzewskiego cechują. Główna treść obrazu pełna życia i prawdy, wyborna, ujmująca; reszta wykonana jakby na prędce na oczekaniu. Mimo tego całość zawsze się podoba, a niekiedy zachwyca. Taka już natura talentu p. Kostrzewskiego, a tej nieprzerobi.

Do widoków lepszych bez zaprzeczenia należy, Widok z okolic Konina p. Gościńskiego Władysława. Przedstawia on leśne zacisze, środkiem płynie strumień przez który dziewczucha wiejska przechodzi, a po drugiej stronie pastuszkowie zajęci utrzymaniem ognia z liści i suchych gałązek. Przy nich o kilka kroków leży przyciśnięta do siebie gromadka owiec, między wrzosami zaś pasie się kilka sztuk rogacizny. Powietrze jakieś mroczne, przeniknięte chłodem, bo w górze widać chmury w coraz gęstsze zbijające się masy, a na dalekim horyzoncie burza już wisi nad samą ziemią i straszy ogromną ulewą. Wszystko to oddane z wielką prawdą i prostotą, artysta nie

sadził się na efekt, patrzył na naturę i starał się ją odwzorować tak jak się przedstawiała. Szkoda że obraz ten nie jest pomieszczony bliżej okna, z natury swęj bowiem cokolwiek przyciemniony, w oddaleniu od światła, utrudza bardzo rozpatrzenie się w szczegółach.

Dwa obrazki p. Malinowskiego, jeden przedstawiający okolice Stawina pod Lublinem, drugi wieś Podzamcze na Kujawach, należą również do lepszych prac tego rodzaju. Szczególniej ten drugi choć mniejszy rozmiarem każdemu spodoba się tyle w nim życia i prawdy. W oddaleniu widać na górze sterzącą ruiny zamku biskupiego, niby widma przeszłości wyciągające z ciekawością głowy do swych prawników. W wiosce zaś pełno gwaru jak zwykle w osadzie oddanej pracy od świtu do zmroku.

Pana Ruśkiewicza obecnie dwa widoki znajdują się na wystawie, jeden krajobraz zimowy z nad Pilicy, drugi z Niekłańskiego piekła. Artysta to sumienny i pracowity, w każdym poruszeniu jego ręki znać studja i poszanowanie sztuki, jakiej nigdy nie lekceważy.

W pracach jego nigdy nie ma nic rzuconego na prędce, nic nie grzeszy brakiem wykończenia, niczego nie jest ani za mało ani za wiele i wszystko we właściwym pomieszczone miejscu. Ta jednak staranność i systematyczność ma granice, których przekroczenie dla każdego talentu czasem zgubnym stać się może. Otóż zdaje się nam, że p. Ruśkiewicz nie ma tego na względzie. Oba obrazki jego barwią się świetnym niezmiernie kolorytem, w krajobrazie zimowym pokrywa lodowa Pilicy dobrze oddana, stojący na niej wieśniacy doskonale od tła odstają, kościółek, plebanja, gromadka drzew po drugiej stronie rzeki, dziewczeczka po wodę spiesząca z konewkami, wreszcie śnieg wszystko okrywający, drzewa w uspieniu doskonale harmonizują z całością, a jednak na jedną nawet chwilę nie zostanie się porwanym zachwytem, co każe zapominać o płótnie i farbie.

Ubody w Warszawie podczas tegorocznej zimy, nie mogą się skarżyć na brak opieki. Zawsze darzeni ofiarami miłosierdzia, na ogólną szkołę nie uorganizowanymi, dawanymi zwykle doraźnie a więc często spekulacyjnie wyzyskiwanymi, w roku bieżącym szczególnego doznają współczucia. Na pierwsze hasło utrapionych mrozów, za inicjatywą władzy, roztworzone zostały bezpłatne nocne przytułki a w dzień urządzono rozdawanie gorącej herbaty z arakiem i sporym kawałkiem chleba. Jak pomoc ta okazała się na czasie, świadczą tłumy które z niej korzystały. Samęj herbaty wychodziło dziennie po sześć do ośmiu tysięcy szklanek, a w izbach na nocleg przeznaczonych po paręset osób korzystało z ciepłego przytułku. Fundusz na ten szafunek dobroczynny gorącego posiłku, stanowią dary prywatne, których hojność nie tylko się nie umniejsza ale zdaje się powiększać.

W każdym niemal numerze kurjerów, można przeczytać długi szereg ofiarodawców, przesyłających na rzecz ubóstwa, pieniądze, herbatę, cukier, arak, chleb w naturze, a dwie znaczniejsze mieszkanki pani Zielińska i Chełczyńska, rozdają bezpłatnie codziennie kilkadziesiąt porcji barszczu z mięsem i kieliszkiem wódki.

Patrząc na tę szlachetną gotowość możniejszych do zasilania warszawskiego ubóstwa, mimowoli przychodzi nam do myśli dawno podnoszona i zaniedbana kwestja dotycząca funduszów tutejszego Towarzystwa dobroczynności. W prawdzie biorąc rzeczy czysto teoretycznie, ubogich a raczej nędzarzy ludzkość nie powinna posiadać, że są jednak więc rad i opieka nad nimi konieczna. Przy wielkim wstępcie pracy, przez Opatrzność oddanym w ręce ludzi, dla chcącego zawsze znajdzie się miejsce przy zwoitego zarobku. Niekorzysta z tego tylko niedołączna starość, ciężkie kalectwo, obłożna choroba, albo próżniactwo. Ubogich mimowolnych ludzkość ma obowiązek wzięść pod swoją opiekę: ubogich z próżniactwa ma prawo przymusić do pracy aby nie zostali nędzarami. Litość sam rozum nakazuje, bo któż może być pewnym swojej przyszłości: przymus do pracy dyktuje prawo zabezpieczenia się od spodziewanej szkody z człowieka, co samowolnie wyłamuje się z pod ogólnego porządku. Jednostka taka żyje a chleb drogi, jeżeli więc nie zdobywa go własną pracą, musi korzystać z cudzej, bo powietrzem żyć nie można, a przystrój z promienia słonecznego na zimę przynajmniej nie wystarcza.

Próżniak to zawsze przyszedł kandydat na przestępcę a nawet zbrodniarza: dom zarobku, warsztaty

moga chwast ten skutecznie plewić i nie dać mu się zbyt rozpleść, trzeba jednak aby w tej myśli działały. Z przeglądu ubóstwa, które tłumnie korzysta z rozdawaną obecnie herbaty, bieda w Warszawie dosyć się znajduje, a jest to zapewne tylko cząstka tego co się kryje przed okiem publicznym. Nędzy wynikającej z wieku lub kalectwa niewiele napotykalimy; biedni przywiązujący wagę do tego dobroczynnego posiłku, nie żebracy jednak, głównie pomiędzy niemi są reprezentowani.

Jeżeli więc Warszawa tak jest hojną w dobroczynnych darach, dla czego żebractwo tak w niej jest rozgałęzione, dla czego Towarzystwo Dobroczynności biedzi się z funduszami do jego szafunku na rzecz ubogich przeznaczonemi? Uorganizowanie zasiłku w herbacie świadczy, że pożytek z niego właściwie zrozumiany i oceniony został, dla czegoż więc nie uorganizować w podobny sposób wsparć doraźnych jakie Warszawa codziennie udziela? Towarzystwo dobroczynności głównie tem zająć się powinno, władza jesteśmy pewni, że pomocy swęj nie odmówi, a początek działania powinien się rozpocząć od rozsortowania ubogich na istotnych biedaków i wyskwykaczy publicznego miłosierdzia. Prawdziwie biednych należałoby w takim razie wziąć pod wyłączną opiekę; wyskwykaczom stworzyć pod stosownym nadzorem jakiś rodzaj zarobku, któryby własną pracą zdobywali; a tworzenie się nowych żebraków stanowczo zabronić. Gdy to byłoby zrobione, gdy zostalibyśmy uwolnieni od żebractwa, co krok spotykanego nie tylko na ulicy ale i w domu, któżby nie składał chętnie na rzecz Tow. Dobr. stałych darów, w których udzielaniu jest często oszukiwany? Cokolwiek tylko energii, a rzecz dałaby się skutecznie może łatwiej jak myślimy. Samo z pewnością się nie robi.

Koncerty węgierskiej orkiestry przybyłej z Komorna w celu artystycznej wycieczki po całej Europie, rozpoczęły się w przeszłą niedzielę, przy nader szczerem gronku zgromadzonej publiczności. Ułożona z ośmiu skrzypiec, wiolonczeli, kontrabas, małego klarnetu i cymbałów, właściwie nie jest orkiestrą w ścisłym słowa tego znaczeniu, z przyjemnością jednak może być słuchana, szczególnie gdy nie przekracza granicy Czardasem zakreślonej. Co tylko wychodzi po za niego, musi przedstawiać się niepełnym, błędem, nacechowanym brakiem harmonji z rozmaitości instrumentów wypływającym. Za to Czardasy wszystko wynagradzały. Tak ich wykonywać może tylko prawdziwie węgierska orkiestra. Ile w nich ognia i naturalnej swobody, ile zapachu i cieniowania, nie podobna opisać. Bez komendy, bez nut, bez pukania na znak przygotowania się, pierwszy skrzypek staje na estradzie, kłania się, przykładając smyczek do strun i rozpoczyna się muzyka. Tempo czasem zwalnia się czasem przyspiesza, tak że często taktu uchwycić nie można, nie to jednak nie zakłóca ogólnego porządku. Pierwsze skrzypce grają jak jeden, drugie wtórują, basy buczą, flecik tręluje, cymbały brzęczą, a żaden instrument nie wyrwie się za wcześnie lub za późno, wszystkie godzą się, łączą i kończą razem jakby im przewodniczyła pałeczka największego dyrektora. Co do sztuk odegranych oprócz walców, wszystkie noszą cechy narodowych kompozytorów, którym w myśli ciągle Czardaś jest przytomny. Jest to wielce oryginalne i podobać się może.

O UBIORACH.

Korespondencja z Paryża.

Przeszłe sprawozdanie poświęciliśmy wyłącznie ubraniom balowem i wieczorowem, dziś zajmiemy się ubraniami na wizyty i na ulicę.

Co do ostatniego powiemy że z pomiędzy licznych okrywek, jakie się w jesieni pojawiły, przemógł nad innymi krótki paletocik dęty, rozkrojony w tyle prawie do pasa. Takich paletocików tysiącami widzieć można na ulicach paryżskich. Jedne z nich czarne aksamitne, wawowane na jedwabnej podszewce lub jedwabne obłożone futrem, inne z takiego jak kostium materiału. Rękawy niekiedy u nich wąskie, części szerokie otwarte, przypominające chińskie pagody.

Do kostiumów tybetowych lub innych kolorowych wełnianych, często widzimy czarną jedwabną spód-

nicę przybraną szerokim marszczonym wolantem lub dwiema wąskimi falbanami. W takim razie, kostium naszyty bywa czarną jedwabną lub aksamitną plisą.

W kapeluszach tę jedną widać zmianę, że wiele z nich podwiązują pod brodą wstążką gros grains lub aksamitką robioną na dwie strony. Szarfy wąskie na trzy palce wiążą się na nie wielką kokardkę z krótkimi końcami. Cesarzowa Eugenia przywróciła tę zaniedbaną modę. Młode panienki noszą okrągłe kapelusiki bardzo maleńkie aksamitne lub kastorowe, przybrane kokardą albo kitką. Mężatki więcej używają kapeluszy wiązanych lub spiętych pod brodą na blondynowe szarfy. Te ostatnie zawsze bardzo podniesione nad czołem. Ubierają je powszechnie *en diadème* strusimi piórami w jednym lub dwóch kolorach. Widzieliśmy kapelusze czarne z aksamitu, przybrane piórem popielatym i różowym, lub szarem i błękitnym.

Woalki małe wychodzą z mody, dzisiejszy woal powinien zasłaniać twarz całą. Najmodniejsze są woalki arabskie koronkowe, szerokie i długie na łokieć, jeden róg bywa w nich zaokrąglony, ten kładzie się od strony twarzy. Woalik odwrócony w tył spina się na warkoczu i tym sposobem zasłania całą głowę. Po przedwstępnych uwagach opiszemy kilka całokształtów toalet.

Ubranie na proszony obiad. Suknia jedwabna w kolorze jasno orzechowym, powłóczysta, przybrana u dołu trzema wolantami. Każdy wolant obszyty wąską falbaneczką, w górze wypuszczona główka, tak u falbanki jak i u samego wolantu.

Na to idzie tunika zaokrąglona po bokach, ogarniowana falbanką i wodą. Z obu stron wody wypuszczona wąska główka. Stanik z tyłu wysoki, z przodu wykrojony czworograniasto ogarniowany wodą. Pod stanikiem upięta na szyi chusteczka z podwójnego tiulu jedwabnego. Rękawy wąskie, przemarszczone w podłuz, u ręki spada podwójna buffa z materji, a z pod spodu zaś wygląda biała buffa z tiulu jedwabnego. Stroik na głowę składa się z gniazdeczka z białej illuzji przybranego różą. Gniazdko to wpięte między włosami po nad czołem, ładnie i świeżo wygląda.

Ubranie wizytowe lub na obiad. Suknia czarna *drap de soie*, do ziemi z szerokim wolantem wyciętym w spiczaste zęby. Na wierzch spada długi płaszcz dworski, przybrany w koło falbanką, w ząbki, z wypuszczoną główką. Stanik wysoki w tyle, wycięty czworograniasto, ogarniowany ruszą jedwabną, z pod której wychodzi w górę fryza koronkowa zwana *cherusque*. Pod wycięty przód idzie podkładka, nagarniowana koroneczką; od stanika na tył krótki baskina... Rękawy mają u ręki podwójną falbankę z pod ostatniej wygląda koronka.

Ubranie wizytowe mniej strojne. Suknia kaszmirowa do ziemi, w kolorze piaskowo orzechowym. U dołu szeroki wolant z główką, przesyty plisą z aksamitu ciemno orzechowego. Na wierzch idzie także tunika zaokrąglona po bokach, objęta plisą aksamitną i frendzlą, w tem odcieniu jak suknia. Stanik pod szyję z odwiniętymi kłapkami aksamitnymi. Pasek aksamitny zakończony z tyłu krótką szarfą. Na wierzch paletocik, rozcięty z tyłu, objęty plisą i frendzlą z bardzo szerokimi rękawami. Z pod paletocika widać końce szarfy, obszyte podobną frendzlą u dołu. Kapelusik do tego ciemny aksamitny, tego koloru jak plisy. Nad czołem przeciągnięte strusie pióro.

Kostium wizytowy z tybetu w kolorze ciemno zielonym. Pierwsza spódniczka przybrana szerokim wolantem z główką. Druga krótsza z szeroką plisą aksamitną tegoż koloru. Paletocik mały rozcięty w tyle, ogarniowany plisą aksamitną lub skonksami. Mufek maleńki skonksowy. Kapelusik aksamitny czarny; przybrany piórem strusim czarnym, z jednego boku wpięta róża.

Podobne kostiumy noszą w rozmaitych kolorach, zawsze ciemnych: tabaczkowym, ciemno czekoladowym *raisin de Corynthe*, lub ciemno fioletowym. Wiele także widać czarnych kaszmirowych — przybranych aksamitem lub futrem.

S. z Ż. D.

Dalszy ciąg objaśnień dodatku arkuszewego.

Trzcinki stanowiące pałeczek opatrują się przez środek dziurkami, które ułatwiają spajanie ich sznurowaniem na krzyż. Zszywając podstawę z koszyczkiem, umacnia się także pałeczek. Równie dla przymocowania nówek, jak dla ozdoby samego koszyczka, daje się 10 cent. duża, ku dołowi wygięta kokarda z trzcinki, obłożona przedzą obwiniętym drutem, spojona we środku małą ozdobą i złączona każdą z pętelek do nówek. Na obrobie popielatą przedzą koszyka, nabiera się 52 oczek i przerabia na nich 26 rzędów w górę, składających się z 3 powietrznymi oczkami, poprzedzielanych słupków, tak żeby słupki, na słupku przypadali. Skończona robota, przeciąga się drutem, jednym rzędkiem ścisłych oczek przytwierdzonym, żeby jego końce, krzyżowały się na rogach z sobą; prócz tego całe tło, przeciąga się w kratki, gładką trzcinką, która na końcach opatrzone dziurkami zszywa się mocno z sobą; końce trzcin, ozdabiają się jak wskazuje rycina drewnianymi paciorkami. Przybrany całość drewnianymi rozetkami, przyklejonymi starannie, lakieruje się wszystko werniksem. Brzegi, pałeczek i przyczepienie nówek, po wykończeniu koszyczka, okręcają się zieloną sznelką.

N. 19 i 20. Dwa modne wycięte trzewiki do balowego ubrania.

Ponieważ trzewiki także ulegają przemianom mody, podajemy dwa atlasowe, z których jeden wycięty ma rozetkę ze sprzączką we środku drugi w odmiennym guście jak rycina wskazuje.

N. 21—24. Modne rękawiczki do balowych sukien.

Rycina 21 przedstawia rękawiczkę z piękną kokardą, rycina 22 zapiętą na eleganckie guziczki. Modna rękawiczka nawet do spacerowego ubrania, nosi się zawsze na dwa guziki, do balowych toalet liczba tychże 4 do 6 dochodzi, co podaje jubilerom nową sposobność, dostarczenia drobnostek wykwiętym elegantkom. Rycina 23 i 24 przedstawia kształt takiego guzika złotego, czarno emalowanego, tak z wierzchu jak ze spodu. Mały haczyk, zakłada się w dziurkę rękawiczki, guzik przypada w okrągły otwór złotej ozdoby, która go cała pokrywa. Jest to zbyt bez którego obejść się można, podajemy go tylko jako nowość.

N. 25—27. Trzy balowe suknie.

Każdy z lekkich materiałów, jako to: muśliny, gazy, tarlatany różnokolorowe i tak pięknie wydający się przy świetle lamp „tarlatane etincélé“ nadać się może na powyższe suknie. Spódnice modeli strojne ubierane falbankami, dochodzą, przy 111 cent. przedniej długości, 138 cent. tylnej, 400 cent. obwodu; tylne bryty dają się proste, a przedni tylko ukośno ścięty.

N. 25. Balowa suknia z tuniką „à tablier.“

Falbana w zęby wycięta 20 cent. wysoka i lekko zmarszczona, cokolwiek tren odznaczająca, otacza dół spódnicy, i kraje się jak wszystkie bufy i riasze z ukośnie wziętego tarlatanu. Obiedwie bufy, nad falbaną liczą 13 cent. riasze 7 cent. szerokości.

W tyle podpięta dla uformowania dwóch pufów 86 cent. długa, prosta, na bokach zaokrąglona tunika, składa się z dwóch części, które w górze po 33 cent. obwodu mając, z brzegów ukośnych 60 cent. dochodzą. Proste brzegi, marszczą się z samego tyłu, aż do wysokości 38 cent. i ściągnięte razem, przyfastrzygowują się w tyle do rozporka. Brzegi boczne sfaldowane na 44 cent. przyczepiają się później do gładkiego przodu. Brycik ten, w górze 20 cent. obwodu liczący, przez środek 44 cent. długi, trzyma

u prostego brzegu w dole 112 cent. szerokości; brzegi boczne skośne są 72 cent. długie, z kądem tworzą się na 25 cent. wystające zęby. Bufy i riusze, jak u tuniki 6 cent. szerokie, formują na dobrze leżącym, tartanem pokrytym staniku, bertę i rękawki. Pasek z rypsowej wstążki różowej z kokardami w tyle, uzupełnia świeżą toaletę.

N. 26. Muślinowa suknia z karoczką.

W górze zmarszczoną spódnicę, ozdabiają u dołu, dwie jednakowe 20 cent. szerokie falbany, obszyte 4 cent. szeroką gipiurką i 3 płóciennymi, przystębnowanymi pliskami. Przyczepienie górnej falbany, pokrywa 4 i pół cent. szeroka ruisza muślinowa, przedzielona płócienną pliską. Wszystkie gipiurowa, 6 cent. szeroka, odznaczająca rodzaj fartuszka na przodzie, uzupełnia garnirunek spódnicy. Podług ryc. 26 gipiurką i pliskami przybrany karoczek, wymaga dwóch części 58 cent. szerokie, które 55 cent. długie, zaokrągla się u dołu. Górny brzeg karoczka, w środku kontrafałdą opatrzony, marszczy się na 34 cent. szeroko, i obejmuje paskiem. Bogata 36 cent. długa szarfa z kolorowej wysiepanej, 13 cent. szerokiej wstążki, dołącza się do rypsowego paska.

N. 27. Balowa suknia z tuniką.

Gładka spódnica naszyta 40 cent. szeroką falbaną z ukośnego materiału, która ze względu na zakończenie ją 7 cent. szeroką ruiszę, liczy tylko 400 cent. obwodu; nagłówek z ruiszy, trzyma 11 cent. szerokości. Wszystkie riusze ukośno cięte, układają się w podwójne kontrafałdy; nad falbaną na staniku i rękawkach, powinny być tylko na 8 cent. szerokie. Kawał materiału u góry zaokrąglony 54 cent. wysokości przez środek, 46 cent. górnego a 115 dolnego obwodu liczący, stanowi część przednią zaokrągloną u dołu tuniki. Dwie inne części, także okrągłe u dołu, każda 62 cent. szeroka, 104 cent. tylną, a 76 cent. bocznej długości licząca, formuje bufę. Należy przytem pamiętać aby z każdego ukośnego brzegu, materiał zbywał gładki, u góry 14 cent. u dołu 16 cent. luźno; pozostały brzeg układa się w siedm fałdek, żeby zajmowały przestrzeń 38 cent. obadwa proste brzegi w tyle, łączą się z sobą w środku tyłu, na wysokości 29 cent. od dołu; dalej, marszcza się na mocnej nitce i ściągają razem, żeby można dobrze puf układać. Nakoniec, dodaje się kontrafałda na tunice, żeby lepiej spadała. Połączenie bocznych brzegów, wypada właśnie przy wspomnianych siedmiu fałdach; od tylnej części, spadają zbywające końce. Tunika oszyta w koło ruiszą daje się gładka z przodu, z tyłu marszczy i obejmuje paskiem. Ruszka 6 cent. szeroka i koronka szersza nieco, formują brettełkowy gorscecik; koronką ozdobiona rypsowa kokarda ubiera suknię przy pasku i na ramionach.

N. 28. Falbana wyszywana łańcuszkiem do czepeków i t. p.

N. 29—32. Ubrania dziecinne od 6—10 lat.

Z magazynu pani Kieffer w Paryżu na bulwarze Włoskim N. 27.

N. 29. Ubranie małej dziewczynki.

Sukienka szkołka w szafirowe i zielone kraty, okrycie wierzchnie z granatowego sukna czarną aksamitką naszyte. Okrycie zwyczajnej paltotowej niezbyt obszernej formy, obcisła pasek z karoczką. Otwarta z tyłu peleryna, schodzi się na przodzie. Kapelusz Tyrolski czarny filcowy z kogucim piórem aksamitną kokardą.

N. 30. Ubranie dla małego chłopczyka.

Majtki do kolan i ukośno spięta bluzka z ciemnego aksamitu, futrem okładana. Rękawy z materji szafirowej z białymi bufkami „crévés“, bardzo wyglądają ozdobnie; można je także zrobić z materiału sukienki.

N. 31. Domowe ubranie dla małej dziewczynki.

Sukienka ze staniczkiem przybranym klapkami z granatowej popeliny; czarna aksamitka ubiera sukienkę i włosy.

N. 32. Ubranie chłopczyka.

Majtki sięgające kolan i sukienka luźna z jednokolorowego sukna zapinana na przodzie przybrana jest; „à la Brandebourg“ grubym sznurem i szmuklerskimi guzikami. Pasek skórzany lub sukieny. Wysokie buciki; kolorowe pończochy dają się tylko małym chłopczykom, starsi noszą majtki sięgające butów.

N. 33. Spacerowe ubranie z paletotem.

Elegantki paryżkie jako najmodniejszą nowość używają kostiumów z paletotami, krajanami na fason kliniastej spódnicy o otwartych rękawach. Spódnica do kostki jedną lub dwiema falbanami naszyta, bierze się z wełnianej tkaniny lub materji ciemnej; paletot powinien być ciemny sukieny albo aksamitny, z garnirunkiem atlasowym stębnowanym w kwadraty. Stan obcisła sznur jedwabny z kwastami. Aksamitny kapelusik z piórami i woalem, odpowiada kolorem całemu kostiumowi.

N. 34. Ubranie wizytowe.

Model na krótszej spódnicy ma powłóczystą tunikę, spojona małym brytem na przodzie. Bryt ten, układa się w fałdy, przytwierdzone kokardami na boku, pod którym, kończą się także wykłady tuniki. Stanik z tyłu pod szyję wycięty z przodu „à l'antique“ lub „à la Watteau“, ubiera w koło bufka i kryza biała muślinowa zakończona koroneczką. Od paska spadają, do boku przyzepsane szarfy, związane w tyle na spódnicy. Tego rodzaju kostium, może być w jednym kolorze; szarfy, wykłady i bufy, dają się z atlasu lub rypsu, w cieniu sukni z cienkiej wełnianej tkaniny. Kosztowniej lecz bardzo ładnie wygląda taki garnirunek z czarnego aksamitu lub cieniu odpowiedniego sukni.

KOMITET BUDOWY KOŚCIOŁA

w Sulisławicach.

Staraniem miejscowego Plebana we wsi Sulisławicach, gdzie dla uczczenia cudownego obrazu Matki Bożkiej Bolesnej, zgromadza się mnóstwo pobożnego ludu, dozwoleń zostało przed kilku laty zbieranie dobrowolnych ofiar, by kiedyś można było powiększyć i upiększyć kościół w miejsce obecnie istniejącego szczupłego i ubogiego kościółka. Wypadki krajowe w upłynionych latach zasła usiłowania te udaremniły. JW. Hrabia Namiestnik pod d. 6 (18) Lipca 1867 r. N. 354 raczył łaskawie dozwolić przedłużyć zbieranie ofiar w całym kraju jeszcze na lat trzy, z zaleceniem by opieczątowane skarbonki za pośrednictwem Rządów Gubernialnych osobom uproszonym wręczone były i aby fundusze zbierane niezwłocznie do Banku Polskiego były odsyłane. Komitet Budowy kościoła rozesłał dotąd skarbonek i książeczek blisko 200 sztuk w przekonaniu, że każda z uproszonych osób dołoży wszelkiej możliwej usilności, by tak piękny cel jak odbudowanie kościoła w miejscu licznymi cudami słynącym przyszedł do skutku.

Tymczasem z końcem roku zeszłego Bank Polski odezwał się z d. 15 (27) Grudnia 1869 N. 40388 powiadomił że dopiero z siedemnastu miejscowości odesłano do Banku zbierane kwoty które wynoszą rs. 572 kop. 23. Komitet budowy kościoła niewątpi ani na chwilę że każda z łaskawych osób skarbonek i książeczkę posiadających, dokłada wszelkiej możliwej usilności, by położonemu zaufaniu godnie odpowiedziały. Widzi jednak potrzebę przez pisma

publiczne upraszać najuprzejmiej, by fundusze zbierane każda z osób raczyła niezwłocznie odsyłać do Banku, a to za pośrednictwem Władz miejscowych administracyjnych, lub gminnych, bo od zebrania i wykazania potrzebnej summy, zależy cała przyszłość tego pięknego celu. Ma nadzieję komitet, że obecna odezwa nie będzie bezskuteczną tym bardziej, że zakres zbierania składek jest ograniczony, a czas stracony, jedynie gorliwością i usilnością nagrodzić można.

Sulisławice d. 12 (24) Stycznia 1870.

Prezydujący **Zarzycki.**

Korespondencja.

Panu A. Z. Z nadesłanych rękopismów z wielkim zalem korzystać nie możemy. Walka duchów zaleca się piękną i poetyczną formą, ale fantazja jej rozlicznie może być tłómaczoną. Wiersz: Żebrak przymioty te same posiada, szczerze jednak mówiąc czyż zamężniejsi tak mają twarde serca, że o biednych zupełnie zapominają? W Warszawie przynajmniej wyrobił się stan czysto żebraczy, do którego jak w kunszcie lub rzemiosłach, przyspasabiają się od młodości kandydaci. Znamy takich od lat przeszło dwudziestu. Wreszcie odsyłamy Autora do wiadomości jaką w dzisiejszym numerze podajemy o pomocy dawaną w tej ziemi biednym, do której tak chętnie damożniejsi mieszkańcy Warszawy rękę przyłożyli. Wszelkie zatem narzekania na nielitość, nieczułość, obojętność możnych, uważamy co najmniej za niewłaściwe. Działać na serce, poruszać go poetycznym słowem do działalności, pokazywać co to jest nędza i niedola ludzka, bardzo jest pożytecznym, ale łajac tych co niezastęgują to niesprawiedliwość nader szkodliwą, bo obudzając niechęć wcale niezastęgoną.

Panu Konstan. Izyc. Żądany numer Tyg. Młod. przesłano. Powieści pani Orzeszkowej: *Na Prowinieji* redakcja posiada w egzemplarzach Tyg. Młod. w formacie książkowym nie wysła.

Pani Klotyldzie My. Bareż brązowy może być ufarbowany na kolor ciemno fioletkowy. Kosztować będzie rs. 4

Pani Józefie Czaj. 100 biletów wizytowych o jakie pisano kosztują rs. 1.

Pani Alinie Wa. Od ufarbowania przysłanych rzeczy należeć się będzie rs. 4 kop. 50.

Pani Julji Wa. Formę salopy i kaptura przesłałszy 26 Stycznia b. r.

Pani Walerji Ka. Kok z warkoczy jaki przedstawiony był w N. 5 Tyg. Młod kosztuje rs. 7. Sztuczkę bareż dostanie za rs. 5.

Pani Paulinie F. Jeżeli Pani wprost z Paryża chce kwiaty sprowadzić, rekomendujemy magazyn pod firmą: Lilla Camus à Paris — rue des Dames Nr. 74 aux Batignolles. Kwiaty tam przesyłne i cena przystępna.

Pani Zenobii B. Formę salopy i kaftanika wysłałszy na początku bieżącego miesiąca.

Listy i przesyłki pieniężne na sprawunki, adresować prosimy: *Do J. K. Gregorowicza Ulica Żabia Nr. 956 dom dawniej Krzemieńskiego.*

Do dzisiejszego numeru dołącza się dodatek arkuszowy z drzeworytami.

N. 1—4. Cztery modne ubrania g6owy.

Z zakladu fryzjerskiego Pana Bysterveld w Paryżu przy ulicy Sgo. Honorjusza N. 5.

Przednie w6osy, do ka¿dego uczesania, rozdzielaj si6 na po6ow6, a ka¿da po6owa jeszcze si6 raz na poprzek przedziela; spodnia po6owa, odwraca si6 na lekkim wa6ku w ty6, po nad czo6em b6dace, karbuja si6 na spilce lub tasiemce, maczajac na noc i zaplatajac we trzy promienie: jeden promie6 w6os6w a dwa tasiemki. Po zapleceniu sciaga si6 tasiemka, aby w6osy u6o¿y6y si6 w z6by. Szyniony dodaj si6 z warkoczy, rulo-



N. 2. Uczesanie w pukle.



N. 1. Uczesanie w6os6w w plecione warkocz.



N. 4. Uczesanie z okrag6o u6o¿onym warkoczem.



N. 5. Berta do stanik6w wycie-tych.



N. 6. Ubranie stanika z bert6 w bu6ki.

N. 2. Uczesanie w pukle.

Z pukli tylnych w6os6w, wystaje marabut, przypi6ty kokard6 z wst66zki i kwiatem.

N. 3. Uczesanie z wisz6cemi warkoczami.

Szynion z warkoczy jaki w N. 5 Ty. M6d podali s6my, ubiera g6ow6 z ty6u: z boku cokolwiek dane jest ubranie ze spadaj6cemi lokami, k66re stanowi rodzaj gniazdka dla po6ysklwego kolibra. Per6y ozdabiaj6 ca6e ubranie g6owy.



N. 3. Uczesanie z wisz6cemi warkoczami.

N. 4. Uczesanie z okrag6o u6o¿onym warkoczem.

Cokolwiek w k66tk6 zwini6ty warkocz, okr6cony per6ami, zako6cza kokard6 aksamitna, z pi6rkiem stoj6cym.

N. 5. Berta.

Na podstawie g6adki6 z sztywnego tiulu z dw66ch



N. 7. Stanik z szelkowem ubranie.

ównych części złożonej i na ramionach zeszytej, daje się berta z tiulu „Malines” w szerokie zakładki układana. Brzeg jej, oszywa się 5 c. szeroką blondyną, 4 1/2 c. szeroką tiulową riuszą, i w bufki daną atlasową wstążką 1 1/2 cen. szeroką wykrój szyi, ubiera 2 c. szeroka blondynka. Przód i ramiona, ozdabiają białe atlasowe kokardy.

N. 6—7. Dwa garnirowane staniki do balowych sukien.

N. 6. Ubranie stanika z bertą w bufki.

Ubranie to, nadaje się równie dobrze na tiulowych, gazowych i

wszelkich przezroczystych sukniach jak na cokolwiek podniszczonych jedwabnych, które przez powleczenie całkiem muslinem zupełnie się odświeżają. Na spódnicy daje się z przezroczystego materiału, trzy, cztery, sześć lub więcej bufek albo falbanek z bufką u dołu; stanik ozdabia, krótką, bufiasta tunika, złożona z jednego prostego kawała, zmarszczonego i objętego paskiem, które się w trzy zęby podcina, żeby w tyle duży puf formowała, a z łoku dwa podłużne zęby. Bertę stanowią dwa rzędy bufek, otaczające w tyle podłużne wycięcie gładkiego stanika, i zakładające się ukosnie na przodzie, jak to widać na rycinie. Można to przezroczyste ubranie przystroić podług gustu kwiatami i kokardami.

N. 7. Ubranie stanika bretelkami.

Podobnie jak w opisie przy ryc. 6 można z tego samego materiału dodać i bretelki, tak do jedwabnych jak do przezroczystych sukien. Bardzo wiele noszą, na jedwabnej kolorowej sukni ze spódnicy bez garnirunku, białe muslinowe tuniki i bluzki, na których dają się znów atlasowe szelki w kolorze sukni; mogą one być ze skośno ciętej materyi zupełnie gładkie, zwężone tylko u dołu albo ze wstążki atlasowej, faldowanej na końcach. Otwarty rękawek, przykrawa się u góry z prostego muslinu, ze spodu zaokrąglonego, obszytego koronką

i atlasową plisną albo rulonikiem. Piękna szarfa, zakończy w tyle bretelki zachodzące szeroko na ramiona, dopełnione z przodu kokardami. Odpowiedniego koloru wstążka ubiera uczesanie włosów.

N. 8 i 9. Dwa kwadraty z siatkowej gipiury

N. 8. Kwadrata ma w środku ładny gipiurowy pajęczek; rozchodzące się od niego promienie, różnią się w robocie tem, od zwyczajnej gwiazdy, że obwiedzione kontury od końca zaczynają, obrabiają się tam i na powrót, dwoma dzierganem ścięgami. Środek ryciny 9 zapełniają: ścięgi dziergany, kratkowany i pół

gwiazdy wywodzone; małe boczne kwadraty, robią się zwyczajnym, łatwym do rozróżnienia na rycinie ścięgiem.

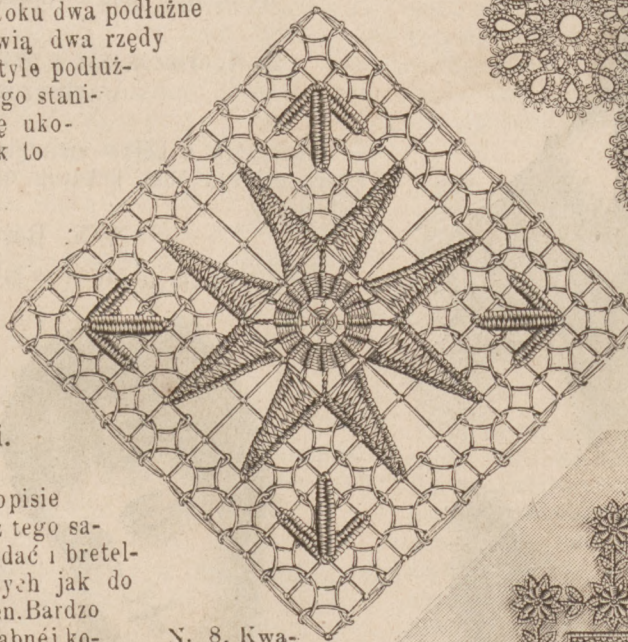
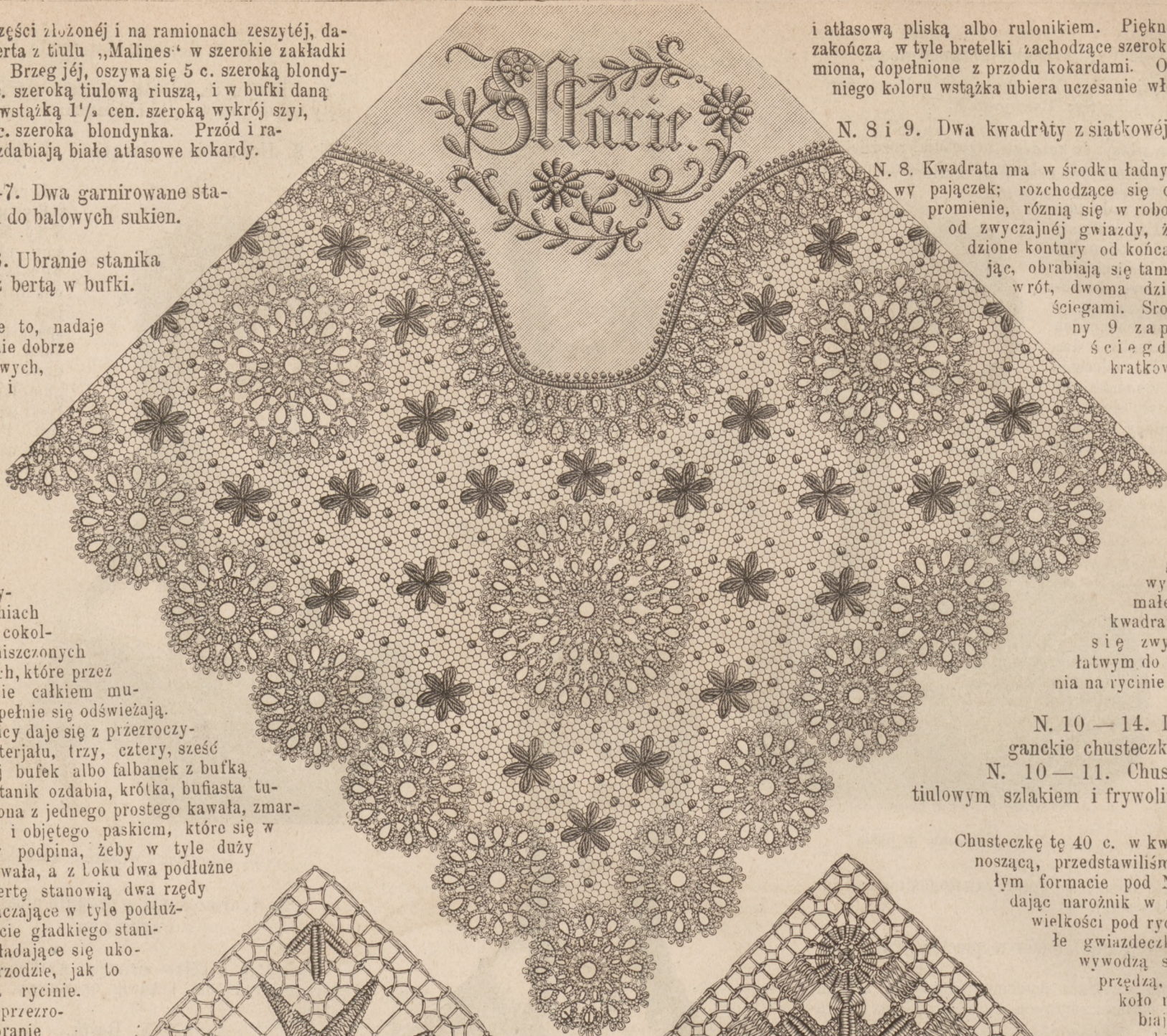
N. 10 — 14. Dwie eleganckie chusteczki.

N. 10 — 11. Chusteczka z tiulowym szlakiem i frywolitkami.

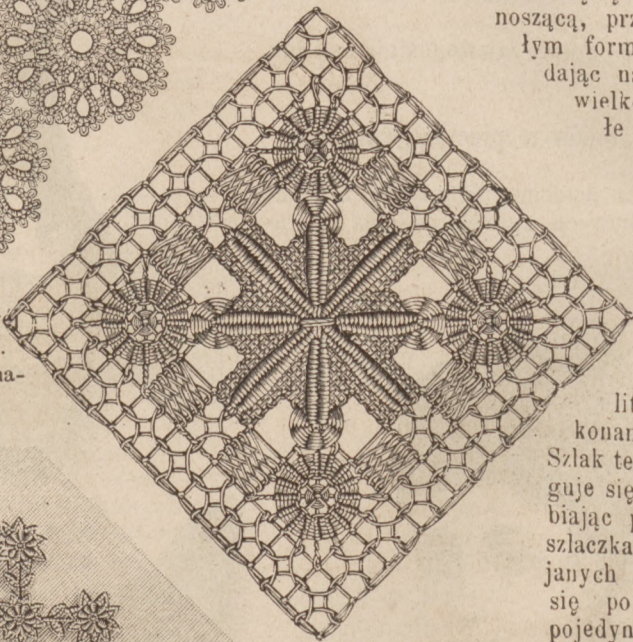
Chusteczkę tę 40 c. w kwadrat wynoszącą, przedstawiliśmy w małym formacie pod N. 11 dodając narożnik w naturalnej wielkości pod ryc. 10. Małe gwiazdeczki w tle, wywodzą się cienką przędzą, kropki w koło nich odraabiają atlaskiem. Stosując się do wskazówek narożnika, dają się gwiazdki frywolitkowe, łatwe do wykonania podług ryc. 10. Szlak ten tiulowy, przydziernuje się do batystu, przyrabiając pikoty frywolitkowego szlaczka. Szlak rozetek spajanych pikotami, przyszywa się po lewej stronie. Pod pojedynczymi rozetami, tiul wyciąć należy; dla trwałości jednak, gdyż robota nie jest tak przezroczysta lepiej go zostawić.

N. 12 — 14. Chusteczka atlaskiem haftowana.

Tak jak wyżej opisana, 40 cent. w kwadrat trzymająca chusteczka, przedstawiona w małym formacie pod ryc. 14

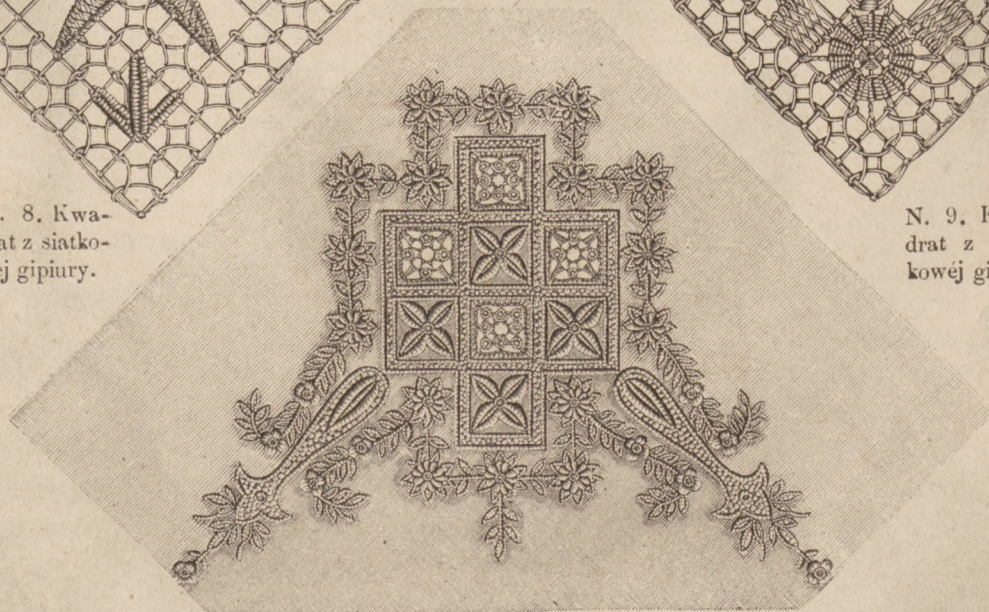


Narożnik do batystowej chusteczki. Wielkość naturalna.

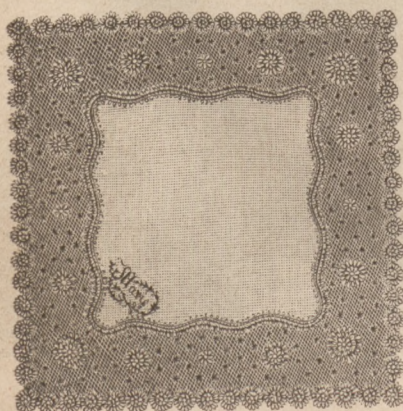


N. 9. Kwadrat z siatkowej gipiury.

N. 8. Kwadrat z siatkowej gipiury.



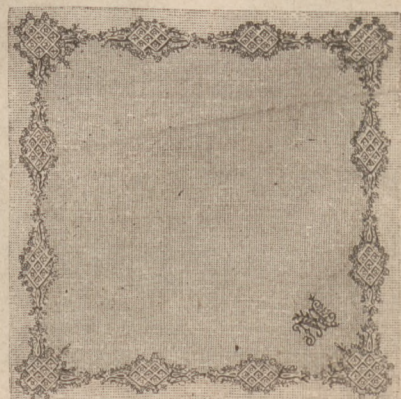
N. 12. Narożnik atlaskiem haftowany. Wielkość naturalna.



N. 11. Całość chusteczki do nosa z tiulowym szlakiem i frywolitkami.



N. 13. Szlak do chusteczki batystowej. Wielkość naturalna.



N. 14. Całość chusteczki do nosa z haftem atlasowym.

wymaga dodania 4 cent. batystu na obręb w koło, pokryty do połowy haftem, jak to w naturalnej wielkości podany narożnik ryc. 12 wskazuje. Rycina 13 (naturalna wielkość) daje jeden deseni boczny szlaku, których połączenie ryc. 14 objaśnia. Scieg kotonkowy w czterech garonkach, wypełniający uwadraciki, wymaga kitki wyciąganą z prawdziwego batystu, bo będąc cieńszą i delikatniejszą od nici, ułatwia niezmiernie robotę.

N. 15. Bluzka wygorsowana z berta

Materiał bluzki przedstawionej pod ryc. 26 (suknia balowa) z tyłu, układa się w 1 1/2 cent. duże zakładki w odstępach 3 1/2 cent. Berta skrzyżowana na

piersiach, składa się z przodu, z dwóch części, w wąskie zakładki, które pojedynczo ogarniowane, zszywają się na ramionach. Przednia część berty, wymaga prostego kawała 44 cent. długiego, a 10 szerokiego, który się u górnego brzegu ukośnie ścina, żeby się spiczasto kończył. Długość tylné



N. 21. Rękawiczka balowa, przybrana kokardą.

części 7 c. szerokiej, cokolwiek ukośnie u dołu ściętej i w ząb wyciętej, zastosowuje się do wykroju stanika. Każda część berty i krótkie rękawki oszyte są w koło 2 cent. szeroką kolorowo podwleconą gipiurą wszywką i 2 1/2 cent. szeroką koronką. Wykrój stanika do którego berta z tyłu przylega,



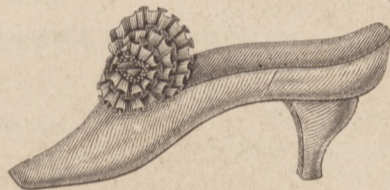
N. 26. Muslinowa suknia z karoczkami.

N. 16. Czarna tiulowa bluzka z chusteczkowym garnirunkiem.

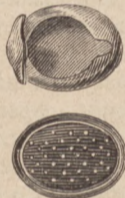
piersiach, składa się z przodu, z dwóch części, w wąskie zakładki, które pojedynczo ogarniowane, zszywają się na ramionach. Przednia część berty, wymaga prostego kawała 44 cent. długiego, a 10 szerokiego, który się u górnego brzegu ukośnie ścina, żeby się spiczasto kończył. Długość tylné



N. 18. Koszyk do cygar.



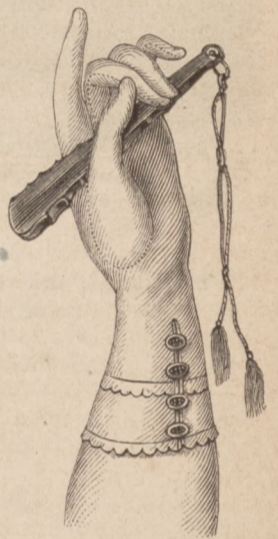
N. 19. Trzewik atlasowy wycięty do balowego ubrania.



N. 23 i 24. Modne guziczki do rękawiczek przedstawione z wierzchu i ze spodu.



N. 20. Trzewik atlasowy wycięty.



N. 22. Rękawiczka balowa ze złotymi guziczkami.

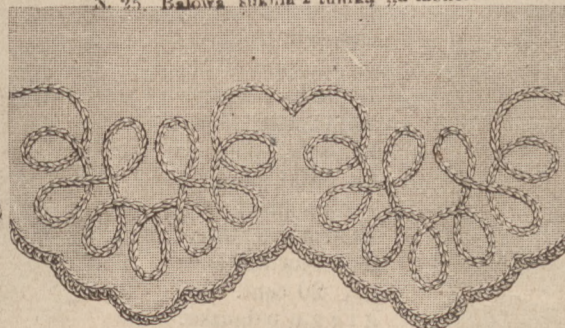
Kokardy czarne, można zastąpić kolorowymi.

N. 17. Czarna tiulowa bluzka z podłużnym wycięciem.

Model z czarnego gipiurowego tiulu, składa się z 1 1/2 cent. szerokiej gipiurowej koronki, 1 cent, sze-



N. 25. Balowa suknia z tuniką „a tablier.”



N. 23. Deseni na falbankę do czepeczka rannego.



N. 27. Muslinowa suknia z tuniką.

oszywa się również 3/4 c. szeroką podwleconą wszywką i koronką. Trzy rozetki z 3 c. szerokiej kolorowej atlasowej wstążki, a tła sem obciążniętymi guzikami w środku, uzupełniają bluzkę objętą 3 1/2 cent. szerokim paskiem muslinowym.

N. 16. Czarna tiulowa bluzka z chusteczkowym garnirunkiem.

Ubranie bluzki, polega na podwójnych atlasowych pliskach danych podłużnie i połączonych zębami a tła s o w y h plisek, w ś r o d k u każdego zęba idzie czarny aksamitny guzik, skrzyżowany czarną atlasową wstążeczką i otoczony 2 1/2 cent. szeroką czarną koronką. Wykrój szyi, otacza dość gruba riusza, przesyta

N. 17. Czarna tiulowa bluzka z podłużnym wycięciem.

atlasowym rulonikiem. bia rękawy, które dla szczupłych osób, ubierają się jeszcze epoletami z tiulu i koronki. Epolet ten, 60 cent. szeroki, w środku trzyma 14 cen. a przy końcach tylko po 6 cent.

Ten sam garnirunek ozd-



N. 29. Ubranie dziewczynki N. 30. Kostium dla małego chłopczyka.

rokięj, atlasowej pliski i 3 1/2 cent. szerokiej wysiępanej atlasowej riu-szy. Podłużne wy-cięcie, ozdabia je-szcze z czarnego tiulu i koronki przyrządzona fryz-ka „Stuart“ 5 c. szeroka, zwężona ku końcowi. Rę-kawy podobnie przybrane z atla-sowemi kokar-dami, mają u do-lu falbanę 48 cent. szeroką, z czarnego tiulu i koronki, 6 i pół cent. dłu-gą, nadszytą w górze 3 cent. sze-roką riaszą tiu-lową.

N. 18. Koszyk do cygar.

Materiał. Po-pielata przędza, rozpołowiona trzcinka, jakiej uży-wają na wyplatanie krzesel 6 i pół tu-zina toczonych drewnianych guzików. 3 tuziny drewnia-nych paciorek od to-karza zielona sznela na druciku, gruby drut kapelusznicy, lakier kopalowy.

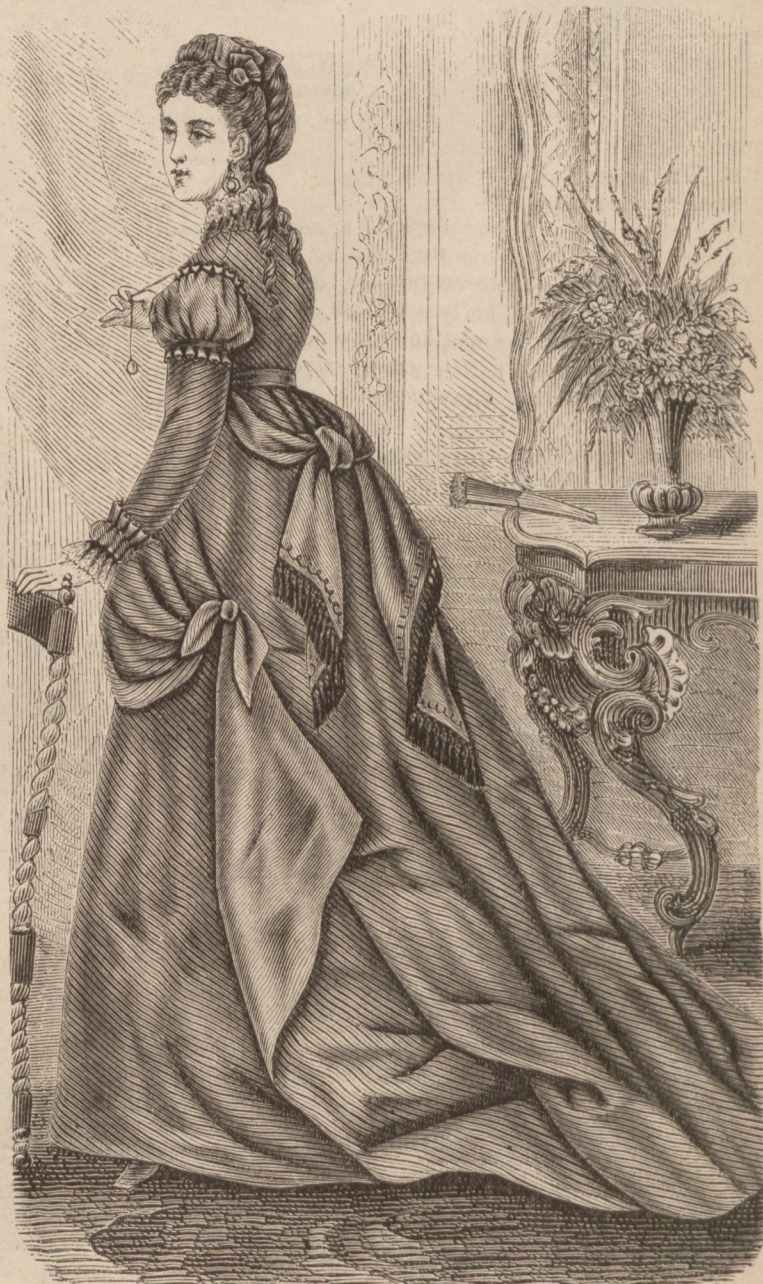
Koszyczek taki, 18 cent. wysoki na podstawie przez kozykarza przy-gotowanej, robi się z Panama kanwy lub skóry, wyszywając sznelką lub kordonkiem w rzucik, na jaki Tygodnik już nie-jeden podał deseń. Po 3, mniej wię-ciej 15—17 cent. długie, przędzą okręcane druciki, stanowią 7 cent. wysokie nóżki na których spoczywa 11 cent. szeroki, a 20 cent. długi kawał wygięty w ząb na koszy-czek. Srodkowa z trzech nóżek, składa się w 4 c. długą pętelkę, boczne druciki, czyli nóżki skręcają się w ślimak. Wszystkie te trzy druciki licząc od pęteli spajają się z sobą przez okręcanie przędzą aż do góry. Do tak uformowanej sztabki, sięgającej brzegu koszyka, dodaje się z trzei-nki ułożone 6 pę-telek, jak pod-wójna nad niemi kokarda, spadając na nóżki powyżej wspomniane, i końce z 2 trzei-nek uformowane-go, 20 cent. dłu-giego pałeczka.



N. 31. Ubranie małej dziewczynki. N. 32. Ubranie chłopczyka.



N. 33. Spacerowe ubranie z paletotem.



N. 34. Ubranie wizytowe.